

małolodkierze

ZIELONA GÓRA 5 — 18 VII 1989 R.
ROK XXXIII NR 14 [697] CENA 60 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŻADAM ROZWODU, WYSOKI SĄDZIE! ŻYCIE I ŚMIERĆ CH. ONASIS

PIĘKNA WYSPA

program tv na dwa tygodnie

SCENY
mitosne

Będzie tu o zdarzeniu bezprecedensowym. Zespół aktorski Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze odmówił podpisania umów na następny sezon, stawiając jako warunek zmianę dyrektora naczelnego. Jest nim od trzech lat ekonomista. Powinien być reżyser, artysta. Odbyły się burzliwe zebrania. Poszły stosowne pisma do Urzędu Wojewódzkiego i Zarządu Głównego ZASP. W chwili, gdy piszę te słowa, nie wiadomo, jak się to wszystko skończy.

BUNT W TEATRZE

Halina Ańska

Teatr w swym tytule lubi wspierać się nazwiskiem. Nie tylko patrona, tak że aktualnego dyrektora, kierownika, reżysera, który współcześnie nadaje scenie artystyczny kształt. Są więc w Polsce teatry Kantora, Dejmka, Hanuszkiewicza, Machulskiego, Fillera, Hübnera. W Tarnowie przez długie lata był teatr Smołwskiego. W Jeleniej Górze jest teatr Aliny Obidniak Teatr muzyczny na Wybrzeżu był teatrem Baduszkowej — i nim pozostał. Gdy mówi się o teatrze Cywińskiej, wiadomo, że chodzi o Poznań. W Lublinie był kiedyś — i znowu jest teatr Rozhina. Gdy stawiałam pierwsze kroki w moim zawodzie, mówiono głośno o teatrze Byrskich i było jasne dla wszystkich, że chodzi o Kielce.

Aktorzy w Zielonej Górze pragną, by teatr, w którym pracują, był teatrem Kozłowskiego.

Są reżyserzy, którzy te „swoje” teatry, swoje twórcze myśli, koncepcje, programy, własne widzenia sztuki i własne sposoby pracy przenoszą z miejsca na miejsce. Prawda, że ze skutkiem różnym — czego byliśmy nie raz świadkami w Zielonej Górze, albowiem na powodzenie przedsięwzięcia tak trudnego i złożonego, jakim jest prowadzenie teatru, składa się wiele norm, czynników i uwarunkowań niezależnych od talentu i umiejętności artysty. Dlatego potrzebni artyści są do pomocy dobrzy organizatorzy, menagerzy, ekonomiści.

Za takim reżyserem — szefem podążają aktorzy, których interesuje bądź nawet porwie jego program, metody, gusta, osobowość, nazwisko, dokonania. (Aktor 1: — Kozłowski dał się poznać jako specjalista od teatru współczesnego. Jest facetem wspaniałym. Zrobił kilka świetnych przedstawień w paru teatrach. Chcę za nim przyjść ludzie z teatralnej Polski.)

Z drugiej strony reżyser zostając dyrektorem teatru, kompletuje sobie zespół podług swych planów i angażuje takich ludzi, jacy będą mu potrzebni do inscenizacji, które ma w zamysle. Niezbędna mu jest do tego wolna ręka!

Ale Kozłowski, jako dyrektor artystyczny, nie ma możliwości podejmowania decyzji kadrowych! Nie rządzi etatami, pieniędzmi! Nie ma więc możliwości po wzięcia zespołu artystycznego do właściwych rozmiarów!

Rozmowy z aktorami w sprawach angażu do teatru prowincjonalnego, są trudne, nawet gdyby szef był osobowością na miarę guru. Skompletowanie dobrego zespołu aktorskiego graniczy z iluzjonistwem. I pomyśleć, że gdy już zespół jako-taki jest, to się o niego nie dba.

(Aktor 2: — Mało gramy, najwyżej 14 przedstawień miesięcznie. W Zielonej Górze aktorów się nie szanuje.)

Właśnie dowiedziałam się, że zdecydowanie odchodzą Irena Wojcik i Michał Swiata. Będzie ich brakować.

Krażą o zielonogórskim teatrze różne opinie, upowszechniane, co ciekawe, przez ludzi, którzy w teatrze nie byli od czasu ukończenia przysłówiowej „piętej B” (aktorzy wiedzą, co mam na myśli, to dla nich użylam tego określenia) — że „ten teatr jest zły”, na „miskim poziomie”, „aktorzy kiepscy”, w ogóle „dno” i tak dalej. Kiedy zażąda się konkretnych, nie powiedzą oczywiście nic, bo nie wiedzą.

Trudno brać serio jakąkolwiek opinię o teatrze, pochodzącą od osób, które nie przekroczyły jego progu, a teatr jako taki widują tylko w telewizorze. Zdarza się jednak, że sądy takie wygłaszane są przez ludzi z samiego teatru!

Wydawałoby się, że ludzie zatrudnieni w teatrze lubią teatr, wiedzą, co się w nim dzieje, znają przedstawienia i aktorów. Tak było, ale już nie jest. Zdarzyło się niedawno, że aktor o najdłuższym stażu zawodowym w Zielonej Górze, znany powszechnie i związany z tym teatrem od młodości, musiał wylegitymować się... pani wydającej w teatrze kartki na mięso... To też świadczą o sytuacji wewnątrz teatru.

O niechętny stosunek do aktorów i ich pracy posadza się przede wszystkim kierowniczka Biura Obsługi Widzów. Są tacy, którzy ponoć na „włas-

ne uszy słyszeli, gdy pani ta, zapoznawszy się z tekstem „Wysypiska”, co zresztą nie należy do jej obowiązków, zawyrokowała, że „sztuka owszem, dobra, ale zespół w tym składzie jej nie uciągnie”...

(Aktor 3: — W sekretariacie powiedziała, czego świadkiem było kilka osób, że gramy poniżej poziomu...)

Aktor 4: — Pytamy, dlaczego na przedstawienia nie przychodzi studenci? Ona na to, że posłała do WSP afisze. Pojechalśmy sprawdzić. Żadnych afiszów nie było...

Aktor 7: — Jeździmy do szkół z tzw. edukacją teatralną. Przy okazji sprawdzamy, czy gdziekolwiek są jakieś informacje o tym, co gramy. Można by przecież posłać afisze, programy, może nawet jakieś zdjęcia dla zachęty. Na sze Biuro Obsługi Widzów tego nie robi. „Po co mam ich informować, i tak nie przyjdą” — mówi pani kierowniczka...

Aktor 2: — Zapytałem, dlaczego „Baladynę” gramy tylko przed południem, a nigdy wieczorem, dla publiczności do której? „Bo wieczorem nikt nie przyjdzie” — brzmiał odpowiedź...

Aktor 3: — Po „Drugim daniu” Mroźka było spotkanie z publicznością i parę osób bardzo nas chwaliło. Na to kierowniczka Biura Obsługi Widzów: „Proszę tych aktorów tak bardzo nie chwalić...”

Aktorzy twierdzą, że przedstawienia „Małego ilustrowanego karawanu” pozostają w nielase, ponieważ pani kierowniczka nie gustuje w surrealizmie. Ktoś widział, że ulotki mające reklamować „Karawan” leżą w stercie na jej biurku i służą do robienia notatek na niezadrukowanej stronie.

Prawda, że publiczność teatralna „normalna” przestała istnieć. Kasa sprzedaje po kilka biletów dziennie. A tak chciałoby się, żeby przed nią stały kolejką! Aktorzy przychodzą do garderoby, wkładają kostiumy, robią charakterystykę. Potem okazuje się, że przedstawienie musi zostać odwołane z powodu braku widzów. Cztery razy przemyślałam się do obejrzenia „Karawanu”!

Przedstawienie to idzie na małej scenie. Dla zapewnienia widowni starczą 40—50 osób. Czy w ponad stuosobowej Zielonej Górze, mieście jeszcze do niedawna chlubiącym się aktywnym ruchem społeczno-kulturalnym, w przeszłości pełnym inicjatyw kulturalnych, wypinającym się do pochwał za festiwale piosenki i folkloru, nie znajdzie się mała garstka osób zaciekawionych, co też kryje taki przewrotny tytuł sztuki teatralnej — z karawanem?

Ciąg dalszy na str. 4



Leon Bukowiecki

Kto sobie przypomina, ubiegły rok, że LLF Łagów 88 odbyło się półoficjalnie tylko dzięki energii Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych. W tym roku — w dużej mierze dzięki niespożytej energii Ryszarda Koniczka — już oficjalnie i to po raz dwudziesty, jako Lubuskie Lato Filmowe.

Obejrzelismy, aż 9 polskich prapremier (nie wiem, czy nie więcej niż w Gdańsku) w tym absolutną rewelację: „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego, który — śladem swego czasu — Polańskiego, Skolimowskiego, Borowczyka, Lenicy i innych musiał wyjechać zagranicę, aby tam znaleźć artystyczną satysfakcję.

Ryszard Bugajski przypomina nam swym filmem rozwiązanie zespołu „X” Andrzeja Wajdy, najciekawszego w Polsce po zmierzchu „Kadru” i rozwiązania w chwili, gdy wchodziły w życie założenia komercyjne, mimo że był JEDYNYM WTEDY ZESPOŁEM DOCHODOWYM!

Czyli wszystko na odwrót, wszystko na głowie.

„Przesłuchanie” ujawniające nam dobre przeciwieństwo znane metody „przesłuchania” w okresie stalinowskim — poza wstrząsającym tematem i znakomitą reżyserią zawiera jeszcze dodatkowe wielkie atuty: grę aktorską Krystyny Janidy (najlepszą i najgłębszą w jej karierze filmowej), Janusza Gajosa i Adama Ferency'ego. Film słusznie uzyskał „Złote Grono” i nagrodę „Don Kichot” Polskiej Federacji DKF.

Film ukazuje się nam w całej swej grozie, w 8 lat po realizacji. Osobiście, gdybym był w jury Federacji, starał-

LLF - ŁAGÓW'89

KINO PO STANIE WOJENNYM

bym się przepchać do nagrody prawie równie wstrząsający a doskonale nowoczesnym stylem w scenariuszu, reżyserii i montażu zrealizowany film „Kornblumenblau” Leszka Wosiewicza, odznaczony „Srebrnym Gronem”, trochę niepotrzebnie z o wiele słabszym filmem „Stan wewnętrzny” Krzysztofa Tchórzewskiego. Jednakże o ba te filmy mają nie mniej ważną tematykę od „Przesłuchania”. Pierwszy mówi o Oświęcimiu widzianym inaczej niż w „Ostatnim etapie” czy „Pasażerze”, a drugi był pierwszym filmem o „Stanie wojennym”, który zniknął z ewidencji... gdyż władze filmowe odmówiły skłaudowania czyli puszczania lub nie puszczania go na ekrany i filmu przez 7 lat „nie było”.

Największe powodzenie u łagowskiej publiczności miał perfekcyjnie zrobiony „Konsul” (ten sam temat dokumentalny i równie świetnie potraktował swego czasu Gradowski) — odznaczający się popisową kreacją Piotra Fronczewskiego.

Do filmów godnych obejrzenia zaliczyć jeszcze można „Ostatni dzwonek” Magdaleny Łazarkiewicz, silny w wymowie, stojący twardo po stronie „Idiocieja” w szkołach młodzieży, niestety, zepsuty fatalnym „zakończeniem”. Naliczyłem aż siedem miejsc, po których coraz bardziej musiał nastąpić napis „koniec”. Swego rodzaju światowy rekord.

Filmem, który się jako tako oglądało, był „Alchemik” Jacka Koprowicza,

Ciąg dalszy na str. 6

Brydź w Sławie

Zaczęło się około 1956 roku, kiedy brydż przestało uważać za rozrywkę kapitalistów. I żeby nadrobić zaległości, grano i cztery razy w tygodniu. Ton w tamtych latach nadawali: Roman Bresiński, długoletni prezes Zarządu Okręgu w Zielonej Górze, redaktor Stefan Wachnowski, jego żona Lucyna, Bogumił Kapurkiewicz, Lesław Hugieli, że wymienię tylko tych, którzy przy brydżu dotrwali do dziś. W międzyczasie poznali brydżistów z Wrocławia, Poznania i Szczecina, a latem 1958 roku zaprosili ich nad jezioro w Sławie. A że brydżiści, gdy się ze sobą spotykają, to nade wszystko lubią grać w brydża, rozegrali go w Sławie. Wygrali wrocławianie, a że to samo uczynili również rok później, zgodnie z regulaminem oni stali się posiadaczami pucharu ufundowanego przez Ligę Przyjaciół Zimowierzy.

Miały te spotkania i rodzinny, i romantyczny koloryt, z różnymi atrakcjami na obrotach już teraz szuwarów jeziernego wysepce. Nie więc dziwnego, że fama o nich szybko obiegła Polskę i dziś, po latach, nie ma takiego w nas ośrodka brydżowego, którego przynajmniej jedna para nie zjawiałaby się w Sławie. Atmosfera z tamtych lat przetrwała, chociaż jej familiarność zeszła na dalsze miejsce. To zrozumiałe. Do Sławy przyjeżdża każdego roku ponad sześćdziesiąt brydżistów. A niektórzy wierni są temu urokliwemu miasteczku od trzydziestu lat, jak Teresa i Ryszard Nowakowie, Krystyna i Leszek Chrzanowscy z Wrocławia, Aleksander Łabędzki czy Tadeusz Galica z Poznania, Jerzy Ruszczyński z Jeleniej Góry.

Przyjeżdżali tu dawniej bracia Łowinscy, Zbigniew Szurig, Andrzej Maciszczak, którym los wyznaczył krótszy, niż się spodziewali, pobyt na tej ziemi. O wszystkich — a lista jest dłuższa — wspominać z wielką sympatią, bo to przecież także i oni tworzyli swoisty koloryt brydżowej Sławy.

Często gościł też Andrzej Wilkosz z Krakowa, twórca znanego nie tylko w Polsce dwukolorowego otwarcia „dwa karo”. Dla wielu Sława, tam sądzić, była odskocznią do „wielkiej gry”. Przyjeżdżali tu reprezentanci kraju, także członkowie zlotowej drużyny z Seattle, zdobywcy olimpijskiego wawrzynu. A Henryk Wolny ze słynnej, zacieśnej armady ze Słupska w Sławie zawiązał nawet rodzinę.

Z aktualnych mistrzów ciągle o Sławie pamięta Cezary Balicki z Wrocławia. Inni nasi reprezentanci też tu bywają, ale już rzadziej. Bardziej przyciągają ich uroki Łazurowego Wybrzeża i metropolii Zachodu, aniżeli może wciąż romantyczna, ale z brudną wodą w jeziorze i z wieloma niedostatkami Sława. Standard domków campingowych „Rawicz”, a także pomieszczeń hotelowych odbiega od średniej krajowej, chociaż ich gospodarz — zielonogórski Lubtour stara się, aby coś tutaj zmienić na lepsze. Szkoła tylko, że nadal wody jeziora są tak zanieczyszczone, że korzystanie z nich w obrębie Sławy jest bardzo ryzykowne. Rzecz powszechnie znana i nie sądzić, aby w tym miejscu temat ten należało szczegółowo rozwijać.

Sławski mityng z towarzyskiego przed laty spotkania przerodził się w imprezę trwającą prawie dwa tygodnie. Jego zorganizowanie wymaga wysiłku wielu ludzi. Wszystko przede wszystkim w rękach społecznie działających członków zarządu okręgu Polskiego Związku Brydża Sportowego w Zielonej Górze, w pierwszym zaś rzędzie dyrektora sławskich mityngów Romana Bresińskiego, nowego prezesa okręgu Ryszarda Chmiela i innych. Aby mityng mógł sprawnie funkcjonować pod względem sportowym, czuwa kilkusetosobowa komisja sędziowska, której od kilku lat przewodzi Włodzisław Szczepiński z Warszawy.

Mityng ma wielu sponsorów, najbardziej o nas dba sławska Gmina Spółdzielnia i jej prezes Klaudiusz Balcerzak. Pomocy nie skąpi również sławski Naczelnik Miasta i Gminy.

Warto przypomnieć, że od roku 1966 prowadzona jest punktacja kongresowa. Pierwszym zwycięzcą kongresu był Mieczysław Pawłus ze Szczecina. Z zielonogórczan tylko Franciszek Indec dane było zwyciężyć w roku 1970, a Arkadiuszowi Stepnińskiemu w roku 1977, ale ten ostatni nie reprezentował barw regionu.

Zwycięzcami ubiegłorocznych imprez kongresowych byli: w drużynowym „PUCHARZE LAT” — C. Balicki, J. Michalek, T. Ralko, H. Wolny oraz A. Żmudziński, reprezentanci Katowic, Słupska i Lublina, zaś w turnieju indywidualnym — J. Romanowski z Wałbrzycha.

Turnieje par wygrali J. Drozdowski i M. Kupnicki z Wrocławia oraz J. Twardowski i W. Frukacz z Łodzi, turnieje par mixtowych M. Pasternak i T. Kaczmarek ze Szczecina. W klasyfikacji kongresowej zwyciężył Adam Żmudziński z Katowic.

Osiągnięcia zielonogórczan są skromne, ale drugie miejsce w „Pucharze Lat” Kazimierz Asta, Krzysztof Adamowski i Witold Miłozewski — zawodników zielonogórskiej NOVITY uzupełnionych przez Andrzeja Maciejewicza z Pili było już sukcesem. Ponadto w turniejach par gorzowianie Andrzej Jeleniewski i Mirosław Soroka zajęli 7-miejsce, a Janusz Lunis z Nowicy i Cezary Szadkowski z Międzyzrzecza w drugim turnieju par uplasowali się na szóstym miejscu.

Program tegorocznego mityngu, który odbywać się będzie od 10 do 22 lipca, jest jak zawsze bogaty. Każdy może wybierać i przebiegać. Mityng tegoroczny będzie już XXXII-gi z kolei.

II TUR MIECHOWICZ

II tura wyborów

Przypominamy: w Okręgu Wyborczym nr 25 w Gorzowie wybrani zostali: Ryszard Dydak — mandat nr 99, Ryszard Kołodziej — mandat nr 100, Jerzy Hopfer — mandat nr 434, w Okręgu Wyborczym nr 26 w Choszczynie: Lucjan Chojacki — mandat nr 103. W Okręgu Wyborczym nr 107 w Zielonej Górze: Czesław Tadeusz Biliński — mandat nr 419, Józef Zych — mandat nr 420, Alfred Bielewicz — mandat nr 421, w Okręgu Wyborczym nr 108 w Żarach: Józef Błaszczak — mandat nr 423.

Święto prasy w Barlinku

Kolejne święto lubuskiej prasy odbyło się tym razem w malowniczym, pięknie położonym nad jeziorem Barlinku w woj. gorzowskim, zaś jego gospodarzami byli wraz z dyrektorem Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego i Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy dziennikarze tygodnika „Ziemia Gorzowska”. Impreza zbiegła się w czasie z organizowanymi już po raz trzeci Dniami Barlinka, nie też dziwnego, że wsparta dodatkowo przez piękną, słoneczną pogodę, cieszyła się dużym powodzeniem wśród mieszkańców miasta.

Nam, niestety, nie było dane tam być.

Uroczystości religijne w Rokitnie

Wiele tysięcy wiernych uczestniczyło w uroczystościach koronacji obrazu Matki Boskiej Rokitniańskiej w Rokitnie w gminie Przytoczna w woj. gorzowskim. Polowej mszy przewodniczył metropolita wrocławski kardynał Henryk Gulbinowicz w asyście duchowieństwa diecezji gorzowskiej z biskupem Józefem Michalikiem. Uroczystości koronacyjne prowadził prymas Polski kardynał Józef Glemp, który też dokonał w asyście kardynałów Henryka Gulbinowicza i Franciszka Macharskiego aktu koronacji obrazu. Gospodarzem uroczystości, w których wzięli udział arcybiskupi i biskupi polscy uczestniczący w tym czasie w konferencji episkopatu Polski w Gościńsku — Paradyżu oraz delegacje kościołów zagranicznych m.in. z ZSRR, NRD, Hiszpanii i Włoch, był proboszcz parafii w Rokitnie ks. Stanisław Klusek.

Laur dla GTK

W dorocznym konkursie towarzystwa regionalnych, w kategorii towarzystw wojewódzkich, nagrodę za działalność w 1988 r. z rąk ministra Kultury i Sztuki odebrali przedstawiciele Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. W motywacji nagrody podkreślono osiągnięcia GTK w wieloletnim wzbogacaniu dorobku kulturalnego regionu, bogatą działalność edytorską i współpracę z innymi towarzystwami i środowiskami twórczymi.

Zjazd zielonogórskich ekonomistów

Odbył się VIII Zjazd Oddziału Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w Zielonej Górze. W dyskusji podkreślano, że nadzieje na nowy ład ekonomiczny tworzone już od 8 lat, są tyle wart, ile warte są faktyczne postępy reformy gospodarczej w zakładach pracy. A jak stwierdził Henryk Wierzbicki, wice dyrektor zielonogórskiego Lumelu — nadal wiele przepisów nie stymuluje podstawowych zależności: jakości pracy, wysokości płacy, nowoczesności produkcji. Stąd wynikają dożądania PTE, które powinno przygotować ekonomistów do poruszania się w gąsz-

czu... niespójnych przepisów. Scierają się nadal co najmniej dwa poglądy co do wyboru drogi: czy radykalizm globalny (wszystko zależy od uryn-kowania gospodarki) czy radykalizm selektywny? Zielonogórcy ekonomiści podzielili pogląd, że tylko ten drugi stanowi jedyny pragmatyczny sposób na wyjście z gospodarczego kryzysu. Prezesem OW PTE w Zielonej Górze wybrano po nownie Eugeniusza Wilka.

Radzieckie odznaczenia dla organizatorów FPR

Prezydium Rady Najwyższej ZSRR przyznało odznaczenia organizatorom Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Orderami Przyjaźni Narodów odznaczono: sekretarza ZG TPPR Stanisława Lewandowskiego, wojewodę zielonogórskiego Zbyszka Piwońskiego, pierwszego wiceministra kultury i sztuki Wacława Janasa i reżysera festiwalu Macieja Galocha. Odznaki honorowe otrzymali: kurator oświaty i wychowania UW w Zielonej Górze — Henryk Baturo oraz przewodniczącą ZM TPPR w Nowej Soli — Jerzy Winiecki. Wcześniej naszą redakcyjną koleżanką red. Halina Aniska-Skarbek wyróżniona została przez ZG TPPR Złotym Medalem „Za umacnianie przyjaźni między Polską i ZSRR”, za wieloletnią pracę publicystyczną i monograficznie opracowaną historię zielonogórskiego festiwalu, który w tym roku obchodził swoje XXV-lecie.

„Mazowsze” w Zielonej Górze

Olbrzymią popularnością cieszyły się występy legendarnego już zespołu pieśni i tańca „Mazowsze” w Zielonej Górze. Zielonogórski amfiteatr pękał w szwach a publiczność była tak samo wspaniała jak przed pięć laty, kiedy byliśmy tutaj po raz ostatni, powiedzieli członkowie zespołu w czasie spotkania z wojewodą zielonogórskim Zbyszko Piwońskim. Bajecznie kolorowe, na najwyższym poziomie występy „Mazowsza” pozostaną na długo w pamięci zielonogórczan.

Lubuskie Lato Filmowe '89

Tegoroczna impreza filmowa w Łagowie zorganizowana staraniem Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych (czyt. artykuł Leona Bukowieckiego — str. 1) miała dwa nurty: pierwszy dyskusyjny dotyczył przyczyn odejścia widzów od filmów rodzimej twórczości, drugi polegał zaś na prezentacji najciekawszych filmów a mających kłopoty z dotarciem do masowego rozpowszechniania. Nic też dziwnego, że tematów do ostrej, niejednokrotnie bardzo kontrowersyjnej dyskusji nie brakło. LLF '89 zakończono werdyktem jury SFP i PFDKF. Nagrody „Złotego Gro-na” przyznano: „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego „za wstrząsający obraz totalitarnej przemocy ale i ludzkiej godności rosnącej tym bardziej, im bardziej jest zagrożona” oraz „Górnikiem '89” Andrzeja Pikutowskiego „za wizerunek historii patetycznej w planie ogólnym, a z bliska prostej i ludzkiej”. Nagrody „Srebrnego Grona” przyznano: Leszkowi Wosiewiczowi za „Kornblumenblau”, Krzysztofowi Tchórzewskiemu za „Stan-

wewnętrzny” oraz Marii Worskiej za „Świt”. Nagrodę „Don Kichota” otrzymał Ryszard Bugajski za „Przesłuchanie”.

Mistrz gospodarności

Rozstrzygnięto wyniki ogólnopolskiego konkursu miast i gmin o tytuł Mistrza Gospodarności. W ubiegłorocznej edycji tego konkursu uczestniczyło ogółem 1708 miast i gmin. W grupie miast i gmin Mistrzem Gospodarności został Wolsztyn, zaś tytuł wicemistrza zdobył m.in. Recz w woj. gorzowskim. W grupie gmin m.in. wicemistrzem został Siedlec, w woj. zielonogórskim. Gratulujemy zwycięzcom!

Wojny napoleońskie

...na ziemiach polskich i ościennych były tematem dwudniowego sympozjum naukowego, zorganizowanego w Żagańskim Pałacu Kultury przez Instytut Historii WSP im. Tadeusza Kotarbińskiego w Zielonej Górze i Lubuskie Towarzystwo Naukowe. W sympozjum udział wzięli liczni historycy polscy i z zagranicy. W trakcie sympozjum czynna była wystawa: „Epoka napoleońska na ziemiach polskich w zbiorach Archiwum Państwowe go w Zielonej Górze”.

Nagrody za książki

Powołane przez wojewodę zielonogórskiego jury, które-mu przewodniczył prezes zielonogórskiego Oddziału ZLP Janusz Koniusz, przyznało, po raz pierwszy w historii województwa, nagrody za najlepsze książki literackie wydane w latach 1985-88 przez miejscowych pisarzy. W tym czasie ukazało się 27 tomów prozy i poezji.

Trzy równorzędne nagrody otrzymali: Wojciech Czerniawski ze Sprotawy za prozę pt. „Challenger ląduje na twoich ustach” (Wyd. „Iskry”), ukazującą codzienne życie w wymiarach uniwersalnych, przy zastosowaniu oryginalnego obrazowania; Michał Kaziów za au-

tobiograficzną opowieść pt. „Gdy moim oczom” (Wyd. LSW) o niepowtarzalnych wartościach humanistycznych; Waldemar Mystkowski za tom wierszy pt. „Wilgotny język polski” (Wyd. PIW) za odkrywczość językową i walory intelektualne.

Nagrody ufundował Wydział Kultury i Sztuki UW w Zielonej Górze.

Nowa książka Mieczysława Wojcieckiego

Ukazała się praca „Uchodźcy polityczni z Grecji w Polsce 1948-1975” dr Mieczysława Wojcieckiego, mieszkańca Lubuska. Wydała ją, w ładnej szacie graficznej, Karkonoskie Towarzystwo Naukowe w Jeleniej Górze, (adres Towarzystwa, ul. Bartka Zwycięzcy 1, 58-500 Jelenia Góra) w nakładzie 2000 egz. Publikacja zawiera liczne fotografie z życia Greków, wśród których są tak znane postaci jak: Paulos Raptis — śpiewak operowy, Eleni Dzoka — piosenkarka, Telemach Pilitsides — malarz czy Ilias Wrazas — filozof, piosenkarz, itd.

Rzecz polecamy miłośnikom Grecji, wszystkim członkom Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej, którego Zarząd Główny mieści się w Zielonej Górze.

Zaprosili nas

Prezydent Miasta Szczecina do udziału w zakończeniu od-rzańskiego rejsu studyjnego organizatorów Muzeum Od-ry i Konferencji Naukowej; Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze na otwarcie wystawy pt. „Rzeźba Ludwika Oleksego”; BWA w Gorzowie na otwarcie wystawy tkaniny artystycznej Marii Chojnac-kiej; Dyrekcja i Zespół Lubuskiego Teatru im. L. Kruczkowskiego na premiery: „Wysypiska” A. Dudariewa i „Małe go ilustrowanego Karawanu” na motywach tekstów Henri Pierre'a Cami. Dziękujemy!

Musica Viva

Kameralna Orkiestra Smyczkowa Polskiego Stowarzyszenia Młodzieży Muzycznej w Poznaniu, pod kierunkiem dyrygenta Mirosława Trzeciaka, to zespół młody, ale już muzykujący na wysokim poziomie. Występował w Związku Radzieckim, Francji i w RFN. Koncertował w kraju. Specjalizuje się w muzyce mistrzów Baroku. Nie rezygnuje z wykonawstwa muzyki klasycznej i współczesnej. Niedawno gościliśmy tę orkiestrę w Zielonej Górze. Wykonana „Suita” Grażyny Baciewicz potwierdziła wysokie umiejętności techniczne zespołu i zrozumienie stylu tej muzyki. Wykonawcą dwóch koncertów fletowych Vivaldiego był flecista Grzegorz Olkiewicz. Ten artysta ożywia swój znakomity instrument w sposób cudowny. Jego gra jest wolna od najmniejszego wysiłku, a siła muzycznego myślenia całkowicie zamienia się w muzykę. Dlatego też wenecki koloryt muzyki Vivaldiego subtelnie przetworzony przez artystę dostarczył słuchaczom niezapomnianych przeżyć.

Nieczęsto mamy okazję w czasie jednego koncertu słuchać dwóch solistów. W tym koncercie wystąpiła też zielonogórska pianistka Ludmiła Pawłowska. Poprzednio koncertowała z Karkonoską Orkiestrą Symfoniczną, obecnie wraz z poznańską Musica Viva wykonała koncert A-dur J.S. Bacha. Nasza młoda pianistka dokonała stylistycznie poprawnej i muzycznie interesującej rekonstrukcji dzieła J.S. Bacha. Grała dźwiękiem wyrównanym, utrzymanym w konwencji klawesynowego pierwowzoru, zachowując właściwe proporcje dynamiczne i brzmieniowe pomiędzy fortepianem i orkiestrą.

Koncert należy uznać za imprezę udaną i wyrazić nadzieję, że w przyszłości będziemy jeszcze podziwiać w Zielonej Górze znakomity zespół, jego dyrygenta i solistów. Od pianistki Ludmiły Pawłowskiej oczekujemy dalszych bachowskich muzycznych kreacji.

ANDRZEJ KLADOCZNY

Redaktorowi

Leszkowi Hermanowiczowi

z powodu śmierci OJCA

wyraża szczerego współczucia

składają

koleżanki i koledzy z „Nadodrza”.



Odważniej i konsekwentniej

Redaktor Naczelny „Nadodrza”
Jestem byłym mieszkańcem woj. zielonogórskiego. Od wielu lat mieszkam w Szwecji, co nie osłabiło mojego zainteresowania tym regionem. Bywam często w Zielonej Górze — a moja rodzina regularnie przysyła mi wychodzącą tu prasę. Będąc dzisiaj w Zielonej Górze kupiłem aktualny numer Waszego pisma. I... Zderzyłem mnie z pewnym listem opublikowanym u Was. Pan Wojciech Czerniawski musi mieć dużo tupetu i arogancję. Wy publikujecie artykuły oceniające jego „wielkość”, a on odgrywa się od Waszego pisma. Pan Wojciech Czerniawski musi być naprawdę pewny swojej genialności jeżeli w tak niegrzeczny sposób („niegrzeczny” to słowo ogledne) zapiera się „Nadodrza”. Próbowałem kiedyś czytać jego prozę — półpoezję — był to tomik „Challenger ląduje na twoich ustach” i twierdzić, że pisarz ten lansuje pewną modę i nic więcej. Jest to na pewno literatura nie przez duże „L” i fakt wydania kilku jego tekstów to sprawa fascynacji i zagubienia recenzentów, a nie czytelników. Osąd tej twórczości pozostawiam tym, którzy próbowali to czytać. Ja na miejscu Pana Redaktora Naczelnego dałbym sobie spokój z chwałką. Nie jest to na pewno nowy Gombrowicz, ani Bruno Schulz.

Przy okazji kilka własnych sądów o Waszym piśmie. Jeszcze niedawno mieliście jeden z najlepszych kącików rozrywek umysłowych. To, co zapoczątkował red. Stanisław Patycki („Spaty”) było rewelacją na miarę porządku prowadzonych tego typu działań na Zachodzie. Co się więc stało? Pan Wiesław Pyżewicz, który jak to wynika z podpisów, reprezentuje Klub „Labrys” (jednoosobowo?) próbuje nam zawirować w głowie wirówkami!

Jest wiele sposobów, by zatrzymać czytelnika przy tytule pisma, sprawić, aby był mu wierny. Odnoszę wrażenie prozę Szanownej Redakcji, że postępowanie wręcz odwrotne. Czyżby była to chęć samounicestwienia? Na to nie ma naszej zgody. Zgody tych, którzy czują się Lubuszaninami. Macie kilka dobrych nazwisk (Aniska, Koniusz, Łukaszewicz, Rowiński), inni zaś byli dziennikarze tego pisma pracują na sympatię innych tytułów.

Zycząc konsekwencji i odwagi, z poważaniem
Jakub Sternfeld
Szwecja

PS. Dla Pana Wojciecha Czerniawskiego podaję pełny adres do ewentualnej korespondencji, by mógł stwierdzić, że listy do „Nadodrza” nie są na zamówienie.

Stenbygrönd 13
163-70 Sponga — Stockholm
Szwecja

Od red. Serdecznie dziękujemy za list, za pamięć o „Nadodrzu”. Postaramy się, by nasze „rozrywki umysłowe” były lepsze od tych, które ostatnio publikowaliśmy. Zapraszamy do naszej redakcji przy okazji pobytu w Zielonej Górze. Zyczymy wszelkiej pomyślności.

PRZED WSZYSTKIM ALKOHOL

Weszli na salę rozpraw. Oboje w wieku około trzydziestu lat. Ona zdecydowana, nieugięta, bezwzględna. On patrzy nieco z zakłopotaniem, bojaźnią, jak gdyby jeszcze nie rozumiał, w jakim celu tu się znalazł. Ona żąda rozwodu. Powód: alkoholizm męża, moralne i fizyczne znęcanie się nad rodziną. W małżeństwie tym pozostaje dwoje dzieci.

— To dobry chłopak — twierdzi były pracodawca, ale wódka całkowicie zaważadła jego życie. Ma taką elegancką żonę...

Ona nie chce już dłużej kontynuować tego związku.

— Od trzech lat powtarza, że się zmieni. Wszystko bez skutku — mówi.

Nie ma już sił. Musi zadbać o dzieci. Dostatecznie dużo stresów przeżyły już z tego powodu.

— Alkoholizm wciąż jest główną przyczyną rozpadu małżeństw. Na drugim miejscu plasują się zdrady małżeńskie — twierdzi sędzia. — Kobiety jednak nie od razu decydują się na rozwód. Zazwyczaj mają nadzieję na poprawę męża, namawiają do rozpoczęcia kuracji odwykowej. Potem występują o zniesienie wspólnoty majątkowej, następnie zapewniają sobie alimenty niezbędne na utrzymanie i wychowanie dzieci. Wciąż jednak mają nadzieję. Nawet w sądzie, na sali rozpraw, często rezygnują z możliwości składania zeznań.

KRYZYS I ZDRADA

Pierwsza rozprawa — zazwyczaj pojedynkowa.

Bywa, że ludzie dochodzą do porozumienia po rozprawie ugodowej. Wprawdzie rzadko, ale zdarza się. Innym znowu razem rozprawy trwają bardzo długo. Sprawy zaczynają się komplikować, gdy w małżeństwie pozostają dzieci, gdy chodzi o podział majątku lub gdy jedna ze stron na rozwód się nie zgadza.

— Jeśli weźmiemy pod uwagę kryzysy małżeńskie — mówi kierownik Urzędu Stanu Cywilnego w Zielonej Górze — to następują one najpierw w 3-4 a następnie w 6-7 roku wspólnego pożycia. Tak więc z 1018 małżeństw zawartych u nas w 1981 r. w drugim roku pożycia rozwiązano trzy związki, w czwartym już dwadzieścia, natomiast w szóstym aż dwadzieścia dwa.

— Kiedy przychodzi kryzys, to najlepiej na jakiś czas wynieść się z domu — twierdzi kierownik USC — przejechać ten okres w rozłące. Potem wszystko lepiej się układa. W małżeństwach rozłąki są wręcz wskazane, wzmaga się tęsknota, wzajemne pożądanie...

— A jeśli znajdzie się w tym czasie jakiś inny mężczyzna, kobieta? — pytam sędziego.

— Bywa i tak... Zadaniem procesu sądowego jest wyciszenie, zahamowanie niezdrowej sytuacji panującej wtedy w rodzinie. Niestety, często jest tak, że całe piekło rozpoczyna się po rozwodzie

Odrzucona kobieta, przekonana o tym, że ona i dziecko zostali przez męża skrzywdzeni, nie chce zgodzić się na kontakty ojca z dzieckiem. Z doświadczenia wynika jednak, że w miarę upływu czasu dziecko traktowane jest przez ojca coraz bardziej instrumentalnie...

KTO KOGO ZDOMINUJE?

Niezgodność charakterów? Jest to przyczyna nie do udowodnienia. To tzw.

ZADAM ROZWODU, WYSOKI SĄDZIE!

ALINA SUWOROW

„elegancka przyczyna”. Ludzie na procesach rozwodowych zazwyczaj nie umieją powiedzieć nic poza tym...

— Proszę pani — mówi pan w średnim wieku, obejmując za ramię swą usmiechniętą żonę. — Ludzie nie zmieniają się tak często po ślubie. To naturalne, że każdy posiada swój własny charakter, ale wybierając towarzysza, towarzyszkę życia i mówiąc sobie: to jest właśnie ten, to, powinniśmy zdawać sobie sprawę, że często będzie trzeba iść na ustępstwa. Małżeństwo to przecież umowa między dwógiem ludźmi, to wyrażenie i kompromis w imię innych, głębszych, istotniejszych wartości stanowiących sens naszego życia.

— To wszystko nie jest takie proste — twierdzi 25-latką z Zielonej Góry, która rozwiodła się parę miesięcy temu. — Na początku bardzo się kochaliśmy. Wysłałam za męża wbrew woli rodziców. Wtedy wiedziałam, że inaczej nie mogę postąpić. Ale już wkrótce zaczęłam podejrzewać, że to się skończy. Może zabrzmi to śmiesznie i banalnie, ale właśnie różnica charakterów nie pozwoliła nam kontynuować tego związku. Nie ukrywałam swych uczuć, myśli, stała się, a tego nigdy nie należy robić. On wszystkie decyzje podejmował sam. Było to sprzeczne z moją naturą, też poniekąd władczą i nieustępliwą. Po nasileniu się awantur, skandali, zdecydowałam się na rozwód. Teraz wiem, że kobieta musi być w małżeństwie przede wszystkim dyplomatka. Kobieta w ogóle narażona jest na wiele cierpień, ale to tylko od niej zależy, jaki będzie jej „dom”.

Jeszcze teraz zastanawiam się, czy go kocham. Ale nie mam wątpliwości, że rozwód był niezbędny. Za bardzo różnił się, a z kolei nie wierzę, by ludzie potrafili się zmienić. Już nie wierzę. Teraz czuję się znacznie lepiej. Nie

o miłości, bo to jest zrozumiałe. Nie wyobrażam sobie związku bez miłości. Sam szacunek wiedzy nie znaczący nic, to byłoby po prostu żałosne. Musi istnieć spontaniczność, fantazja, radość z wzajemnego poznawania się. Myślę, że każda ze stron powinna umieć godzić się na kompromisy. To bardzo ważne. Dlatego też nie zalecałabym wiązać się dwógiem ludziami o jednakowo silnej osobowości. Ludzie muszą do siebie pasować, i fizycznie, i psychicznie. Po pewnym czasie znajomości można to już ocenić. Wszędzie potrzebny jest umiar i rozsądek. Żywi! — owszem, ale nie zawsze.

Rozwód? Wcale nie był dla mnie bolesny. Trwał zaledwie pół godziny. Nie było rozprawy pojedynkowej. Odkłonił się za porozumieniem stron, bez orzekania o winie... Przecież wspólnie ponosił winę. Nigdy nie jest tak, że winna jest tylko jedna strona...

Bywa i tak, że na sali dochodzi do sytuacji zabawnych. Małżonkowie dają się ponieść emocjom, nie zważając na to, gdzie się znajdują. Te sceny nie należą do przyjemnych — mówi sędzia. — Kiedyś trzeba było ukarać pewnego pana, który na rozprawę przyszedł w stanie nietrzeźwym. Czasami dochodzi do sytuacji komicznych, a przecież sąd powinien zachować powagę, gorące serce, ale kamienne policzki.

ZBYT MŁODZI, BY RAZEM...

Bardzo często rozwodzą się ludzie młodzi, którzy pobierali się z pobudek czysto emocjonalnych, nie osiągnąwszy dojrzałości psychicznej. Zmierzach takich związków następuje często w trzecim — czwartym roku ich wspólnego życia.

— Rozwiedliśmy się po pięciu latach

spokojnego, ułożonego, pozbawionego uczuciowych wzniołości i upadków życia — mówi mój kolejny rozmówca, 32-letni mężczyzna z Zagania. — W końcu nie wytrzymałem i uciekłem. Zawsze bałem się tej okrutnej w swym powolnym i niezauważalnym działaniu stagnacji. Czulem się jak w matni, malignie... Na szczęście nie mieliśmy dzieci... Moja żona na początku nie zgodziła się na rozwód, podejrzewała, że ją zdradzam. To nie była prawda. Teraz jest Maria. To zupełnie inna osobowość, temperament. Cieszę się, że ją mam.

Rokrocznie rozpada się u nas ok. 15-20 proc. małżeństw. A o ilu z tych pozostałych można powiedzieć, że są szczęśliwe?

— Pod uwagę bierzemy przede wszystkim dobro dziecka — mówi sędzia. — Najpierw trzeba jednak to dobrze wyegzekwować, ocenić co będzie dla dziecka najkorzystniejsze. Jeśli widzę możliwość dojścia dwójga ludzi do porozumienia, to staram się jak najbardziej ich do tego nakłonić. Bardzo ważną rolę odgrywa tu zawodowa intuicja sędziego. Czasami się to udaje. Jeden z procesów przeze mnie prowadzonych trwał dwa lata, i po tych dwóch latach, proszę sobie wyobrazić, powódka oddała powództwo.

Zdarza się też, że małżonkowie godzą się już po orzeczeniu rozwodu, ale przed upływem jego uprawomocnienia czyli okresu 21 dni. Koszty postępowania zostają im wówczas w całości zwrócone.

Gdy zauważymy niezdecydowanie ze strony małżonków, często zasięgamy opinii w ośrodkach diagnostycznych, wysyłamy ich do poradni rodzinnych.

NIEZADOWOLENI Z ŻYCIA

Czy ciężka sytuacja społeczno-ekonomiczna naszego kraju może mieć wpływ na zwiększenie ilości rozwodów, spętanie się konfliktów w małżeństwach? — pytam psychologa. — Niewątpliwie tak — odpowiada. Rodzina powinna być enklawą ciszy i spokoju. Tymczasem daleko jej do osiągnięcia tego celu.

Nasze społeczeństwo w swej przeważającej większości jest ponure, smutne, zadowolone. Te ciągle piętrzące się przed nami problemy, szalony pośpiech, bezustanna pogoń za pieniędzmi, za zaspokojeniem niezbędnych potrzeb... Ludzom nie starcza czasu, aby więcej uwagi poświęcać swojemu partnerowi, aby szlifować i polepszać wzajemne stosunki. Zapominamy o szacunku, zaniedbujemy dzieci. To wszystko, co decyduje o cieple domowego ogniska, o stworzeniu w rodzinie atmosfery serdeczności, zaufania — przechodzi na plan drugi. Kobieta polska w natłoku tysięcy codziennych kłopotów zapomina o tym, że powinna być interesująca dla swojego męża. Wszystkie kryzysy wyzwalają u ludzi agresję.

Bezpośrednio łączy się też z tym kultura spędzania czasu wolnego, wzajemne poznawanie się nie tylko w czasie domowych posiłków, wieczorem przed telewizorem czy też na rodzinnych, nudnych zazwyczaj spotkaniach i libacjach w gronie znajomych. Trzeba pamiętać, że rozrywka to nie tylko video czy dancing. To prawda, że dochody nasze nie są zbyt duże, że przeciętnego Polaka nie stać na samochód itd. Ale nie jest prawdą, że nie stać nas na wyliczek rowerową po najbliższej okolicy, piknik na świeżym powietrzu nad pobliskim jeziorem. Ludzie, niestety, pozostawili gdzieś poza sobą, w niepamięci umiejętność odczuwania prostego piękna.

KĄTEM U TEŚCIEWI

U nas większość młodych małżeństw zmuszona jest mieszkać z rodzicami. W niewielkich mieszkaniach zamieszkuje niekiedy po dwie — trzy rodziny. Łączy się to zazwyczaj z ingerowaniem w sprawy młodych. Sytuacje takie nie rzadko doprowadzają do konfliktów, rodzinnych skandali, rozpadu małżeństw. Rodzice robiąc wszystko dla dobra swych dzieci, potem, wnuków, nie podejrzewają, że mogli się przyczynić do wielu niepotrzebnych problemów. Zależni od swych rodziców, nie mają własnego zdania, nie potrafią się wyrazić, nie potrafią się bronić. — Sądzę, że gdyby nie było u nas problemów z mieszkaniem, choćby nawet z pokojem w hotelu pracowniczym, liczba rozwodów zmniejszyłaby się — twierdzi sędzia.

— Pobraliśmy się tylko dlatego, że zaliczyliśmy „wpadek” — stwierdza Marcin B. z Zielonej Góry. Nigdy jej nie kochałem. Byłem wtedy młody i głupi. To ona powinna była uważać... Od samego początku nie układało nam się dobrze. Zamieszkałaliśmy u jej rodziców. Gdy urodził się Michał, sytuacja stała się jeszcze gorsza. Wkrótce było to nie do zniesienia. Notorycznie do wszystkich wtrącała się teściowa. Jej wścibstwo doprowadziło mnie do szału. Gdy wchodziła do naszego pokoju, przerywałem jedzenie, ponieważ traciłem momentalnie apetyt. Wytrzymałem rok, potem odszedłem. W końcu żona zrozumiała, że kontynuowanie takiego życia nie ma sensu. Od czasu do czasu widuję się z synem, placę na jego utrzymanie. Teraz mam już drugą rodzinę. Niedawno urodziła nam się córka...

NIEPŁODNOŚĆ I ŚWIADOMOŚĆ SEKSUALNA

Seksualna świadomość naszego społeczeństwa, szczególnie młodzieży, wciąż jest bardzo niezadowolająca — twierdzi psycholog. Wprawdzie ostatnimi czasy ukazało się parę publikacji na ten temat, wspomnę chociażby o „Naturalnej regulacji pocię” — Ewy Wójcik i „Niepłodności uleczalnej czy nie” — Rudolfa Klimka, ale to wciąż jeszcze za mało. Potrzebna jest szeroka reklama, rozpragowanie tych książek wśród młodzieży. Także nauczyciele w szkołach średnich powinni się tym zająć. Nasza w tym względzie nieświadomość pozostawia niejednokrotnie trwałe piętno na życiu wielu ludzi. Zbyt mało nauczycieli — wychowawców decyduje się na organizowanie dla dziewcząt spotkań z ginekologiem. Niestety, szkoła nasza w całym swym pruderystycznym wydaniu wciąż pozostawia pod tym względem wiele do życzenia. W wyniku uświadomienia nie byłoby wówczas tyle niechcianych ciąży — zabiegów o późniejszych komplikacji z tym związanych.

Przypomina mi się jedna z anegdot literackich dotyczących Jacka Pugeta. Otóż dowiedział się on od swojej przyszłej małżonki, że zaszła w ciążę. Nie wiedział, co robić. Zenić się, czy nie? Wysłał wówczas do przebywającego w Paryżu swego ojca Ludwika telegram tej treści: „Nie uważałem, jak robiłem, co mam zrobić? Stary Puget oddepeszcował: „Jak nie uważałeś, gdy robiłeś, to co uważasz?”

Rokrocznie Sąd Rejonowy w Zielonej Górze udziela ok. 550 rozwodów. Jest to liczba umiarkowana.

Czy częstym powodem rozbitcia małżeństwa jest bezpłodność jednej ze stron?

Okazuje się, że jest to temat wstydlivy. O tym zazwyczaj się nie mówi na procesach rozwodowych. Wtedy jako powód podaje się niezgodność charakterów. Z doświadczenia wynika jednak, że bardzo dużo konfliktów bierze swój początek w sygnali małżonków: on pragnie kontaktów, ona boi się zajścia w ciążę, gdyż może to zaszkodzić jej karierze zawodowej. Innym razem ona pragnie dziecka, mąż natomiast z przyczyn od niego niezależnych nie potrafi jej tego zapewnić.

Okazuje się, że w 40 procentach niepłodnością obarczani są mężczyźni.

— Bywa i tak — mówi sędzia — że wypowiedzi pozwanych ograniczają się do stwierdzenia bardzo ogólnych. I to nierzadko wśród ludzi z wyższym wykształceniem. Częściej rozwodzą się jednak ci z wykształceniem podstawowym lub zawodowym.

NAJWAŻNIEJSZE SĄ DZIECI

— Przeżyliśmy z żoną wspólnie dzieśiat lat — mówi mój rozmówca, p. B. z Wrocławia. — Miałam komplikacje z zająciem w ciążę. Leczyła się. Bardzo chciałyśmy mieć dziecko. Niestety, wszystko bezskutecznie. W międzyczasie poznałam inną kobietę. Przez jakiś czas prowadziłam podwójne życie. Żona domyślała się, zaczęła więc symbolować ciążę. Odszedłem od tamtej kobiety. Niestety, kłamstwo wkrótce wyszło na jaw. Później już nie byłem w stanie uwierzyć w żadną historię o ciąży, chociaż, jak się wkrótce okazało, ostatnim razem mówiła prawdę. Odszedłem do kochanki. Ona też spodziewała się mojego dziecka. Obie w mniej więcej tym samym czasie. Nigdy nie oczekiwałem takiej ironii losu. Ani żona, ani kochanka nie chciały dłużej ze mną żyć. Na początku byłem bardzo zalamany, ale później jakoś się z tym pogodziłem. Cieszyłem się, że w końcu będę miał własne dzieci. Zaraz też kupiłem duży wózek, wie pani — taki, jak kupuje się dla bliźniaków. Początkowo nie chciały się zgodzić, abym zabierał moje córki wspólnie, później dały się jakoś przekonać. Teraz moje córki mają po piętnaście lat. Oprócz tego, że są siostrami to jeszcze bardzo się przyjaźnią, co uważam za swoją zasługę. Na każde wakacje wyjeżdżamy razem. Nie, nie rozwiodłem się ze swoją żoną, ale od tamtego czasu żyjemy w separacji. Praktycznie mieszkam sam, ale przecież mam dzieci. Przyszłoby bardzo często do mnie. Dają tyle radości i szczęścia. Człowiek często nie zastanawia się na tym — kontynuuję — nie myśl w codziennym pośpiechu o tym, co najważniejsze w życiu, bo wracając to one — dzieci są najważniejsze. I nigdy o nich nie powinniśmy zapominać.

POSTAWY

Wszechświat zrewoltowany

Budynek przy ulicy Westerplatte jest dowodem na to, że bardzo dawno temu — moich córek jeszcze nie było — Polacy potrafili wytwarzać dobry cement, stał, białe, ubrał się drewno, zaś murarze, posługując się sznurkiem i poziomą, nie mylili pionu z poziomem.

Zab czasu nadgrzała każdą urodę. Wenus i Apollina także. Temu budynkowi jednak nie zaszkośli. Stało się tak dlatego, że ekipy konserwatorów i remontowców prawie nigdy tego miejsca nie opuszczaly. W sezonie letnim na przykład, malarze i tynkarze wyręcały w pracy całe wydziały, udzielali porad ideologicznych i pomocy fachowej dość licznemu gronu obywateli. I nikt z tych przedstawicieli klasy robotniczej się nie zawodził. Sprawę się załatwiali wprost i wychodziło z miłym uczuciem wyprostów nego kręgosłupa.

Dom przy ulicy Westerplatte, określany mianem białego, choć jest szary, już na pierwszy rzut oka, przynosi do każdego daltonista nie znajdujący się na wartościach nieruchomości, w sensie kondycji, jest w formie znakomitej, lepszej od Wawelu. Wszystkie inne budowle w okolicy najbliższej, ze znacznie młodszą metryką, choćby takie nieudaczniki jak „Centrum” i „Hermes” wyglądają jak slumsy! a zresztą takie one są.

W przeciwieństwie do gmachu, który ma się dobrze, kondycja osób tam zatrudnionych na różnej zasadzie, wyborczej i kontraktowej, jest zróżnicowana. Tylko najstarsi pracownicy nakręcają numer i głoszą do słuchawki tradycyjny zwrot — mówię komitet wojewódzki! Paręnaście lat temu, zwrotów wo wystarczała na odbycie się małego trzęsienia ziemi. Człowiek odbierając taki sygnał, czuł się wyróżniony i namaszczony. Uważał, że stoi u progu wielkiej kariery. Opoowiadał o tym w łóżku, tak jakby otrzymał telefon prosto z niebios. Małżonka gładziła go po łysinie i mówiła cicho — mój ty, Napoleonie. I istotnie był to Na-

poleon, bo miał w pełni upału dostarczyć skrzynki z wodą sodową. Anonim mówiący do słuchawki „tu komitet!” podnosił temperaturę kroczą słuchacza, oziębiał czoło. Szczególnie wyróżniony, na przykład zaproszeniem na konferencję na trybunę, bywali wśród takich również mądrzy, głupiały w oczach. Normalna, na co dzień używana polszczyzna, sprowadzała się do pięciuset słów i obowiązującego, jednego schematu. Szło o wypranie wypowiedzi z jakiegokolwiek indywidualizmu. Sens wypowiedzi był tak głęboko ukryty, że odnalezienie go było trudne nawet dla największych znawców. Bywało, że sensu w ogóle nie było, bo i nie było potrzeby samookreślenia. Sam fakt mówienia z trybuny już był samookreśleniem.

Centrum władzy najlepiej wiedziało, co się w otaczającym świecie dzieje. Nie potrzebowało informacji. Potrzebowało jedynie potwierdzenia informacji już posiadanych. Komunikacja z otaczającym światem miała więc charakter jednostronny z góry na dół. Podejmowane uchwały dotyczące spraw publicznych, mające przecież uczynić otaczający świat nieco lepszym, w istocie rzeczy nie się zmieniały. Była to w najlepszym przypadku deklaracja intencji, na ogół do rych. I tak toczył się świat spokojnym rytmem. Zdarzało się jednak, że w dobrze uregulowanej maszynie coś zagrzętało. Ktoś nie wykonał planu. Ktoś inny cudzołożył. Ktoś narozrabiał. Wtedy był dywanik. Rozmowa umoralniająca. Protokół. Trzy Parki przedzące nic ludzkiego losu w komisji kontroli partynę brały do rąk nożyckich. Dawniej były okrutne. Dyrektor pegeeru zostawał traktorystą, prezes kierownikiem sklepu. Odebranie legitymacji oznaczało definitywny koniec kariery faceta na równiczym stanowisku. Wobec ludzi normalnych, pracujących fizycznie, trzy Parki były łagodne jak baranki. Tokarz lub ślusarz po odebraniu legitymacji był

dalej tokarzem lub ślusarzem. Nie musiał nawet zmieniać miejsca zamieszkania.

Centrum władzy w białym, choć szarym domu, jak w Waszyngtonie kreujące, konsekwujące, egzekwujące, zawsze tęskniło za nowym stylem pracy. I niewiele zmieniło. Przyszłość była przodką, sprawdzone wzory od Wielkiego Brata, który zainicjował rewolucję w Piotrogradzie. Poszukiwanie oryginalnych form pracy kończyło się na pozurach. Odbiwały się gry personalne, przebiegające w gabinetach. Zmieniały się realia. Wyszyły z mody frontowe utensylia — mapniki i raportówki. Zostały zastąpione przez foremne kuferki sprządzone w dyplomacji międzynarodowej. Duch jednak pozostał ten sam. Buszował wśród porządków biurów, kwiatów, wy-pucowanych parkietów. Ten wzorowy porządek, gdzie ubikacja jest czystą ponad przeciętność, gdzie mydło, ręcznik i papier (czasem), oraz odprasowane spodnie i gustowne krawaty pracowników, budził wśród przechodniów na ulicy Westerplatte niezdrowe, zgola fałszywe domysły. Do dziś krąży legenda o wspaniałej zaopatrzonej bufece. Nikt, poza bywałcami, nie wierzy w to, że widelce są aluminiowe i mają powykrzywiane zęby, zaś zaopatrzenie takie same jak w ogólnie dostępnym kiosku prowadzonym przez spółdzielnię inwalidów.

Uchwały bez mocy wykonawczej, jako wykładane nawet najlepszych intencji, przestały interesować społeczeństwo. Kreacja, konsekwacja, egzekucja, okazały się znużeniem. Świat tyłekroć ignorowany, którego informacji nie chciały słuchać, odezwał się wielkim wrzaskiem rzeczywistości. Nie sposób tego wrzasku nie słuchać. I oto duży, bardzo dobrze utrzymany budynek w centrum miasta, zbudowany w okresie socrealizmu, wymaga także całkiem nowego zagospodarowania.

RYSZARD ROWIŃSKI

Tak zaczęło się na Pograniczu

Złagodzona od stycznia 1934 roku tra dycyjna akcja antypolska na pograniczu lubusko-wielkopolskim w miarę zaostre nia się stosunków polsko-niemieckich ulegała pogorszeniu od marca 1939 roku naglemu pogorszeniu.

Jej echa znajdujemy w rocznikach ga zet polskich z tego okresu. I tak np. „Kurier Warszawski” z 29 czerwca 39 r. w korespondencji z Berlina po dał alarmującą wiadomość: „Masowe re presje i rozwiązywanie stowarzyszeń polskich, konfiskaty, rewizje, wysiedle nia”. W korespondencji tej czytamy m.in. „W Niemczech na terenie powia tów Babilonii i Międzyrzecz zostały w ostatnich dniach wydrżone zaszczepi ce wyrażnie o zorganizowanej akcji nie mieckich władz policyjnych, które dą żą do wyrugowania życia polskiego z tego terenu. Tajna policja państwowa roz wiązała szereg organizacji. Ofiarą tej akcji padły Oddział Związku Polaków w Niemczech i Towarzystwo Robotni cze w Dąbrowie Wielkiej, kółka rolni cze w Matych i Wielkich Podmoklach, Stowarzyszenie Polsko-Katolickie Robot ników w Nowym Krańsku. We wszyst kich wypadkach policja zarchizowała re kwizycję majątku i akt rozwiązań stowarzyszeń. Wszystkie organizacje do stały jednobrzmiące dekrety nakazujące likwidację, w których jako uzasadnienie podano, że działalność oddziału, względ nie towarzystwa, wyraża się ze wzglę du na bezpieczeństwo publiczne niepo żądane. Kazano nawet wyjąć z kościołów sztandary rozwiązywania towarzystw. U członków tych towarzystw przeprowadz no rewizje osobiste. Na uwagę zasługu je fakt rozwiązania po raz pierwszy w Niemczech oddziału Związku Polaków w Niemczech i to w miejscowościach be dących ośrodkami życia polskiego. Z po granicza zaczęto wydalać Polaków. Wy dalono czterech gospodarzy z Wielkiej Dąbrowki, pozbawiono nauczyciela, kie rownika szkoły polskiej w tej miejsc owości prawa nauczania. Z Wielkich Pod mokli wydano dwóch gospodarzy, w tym prezesa oddziału Związku Polaków w Niemczech. W Starym Krańsku ode brano prawo nauczania kierownikowi szkoły polskiej”.

Tak się składa, że dzięki zachowanym częściowo niemieckim aktom policyj nym potwierdzonym przez relacje pozo stałych przy życiu uczestników tych wy darzeń, możemy dziś zweryfikować po dane przez „Kurier Warszawski” wiad omości. Znamy nazwiska Polaków wy siedlonych z Dąbrowki. Byli nimi rolni cy — Michał Kleska, Tomasz Kociolek, fryzjer Ludwik Kasprzak oraz mu raz Franciszek Pawelski. Każdemu z nich policja wręczyła 23 czerwca 1939 r.

jednobrzmiące pisma podpisane przez landrata (odpowiednik starosty) w Mię dzyrzeczu. Czytamy w nich m.in. „Ni niejszym aż od odwołania zabraniam pa łu na podstawie artykułów... mieszkac i przebywać na tutejszym terenie. Wi eń pan opuścić wymieniony teren w ciągu dwóch dni, licząc od daty doręcze nia niniejszego zarządzenia... Przeciwno tej decyzji można w ciągu 14 dni, licząc od daty doręczenia, złożyć na moje ręce zażalenie do pana prezydenta rejen cji (odpowiednik wojewody — W.L.). Za żalenie — nie ustrzymuje wykonania tego zarządzenia...”.

Z urzędowej korespondencji wewne trzniej dowiadujemy się, że „jeżeli roz kaz ten nie będzie wykonany... trzeba będzie zapewnić przymusowe jego wyko nanie. Zakładam przy tym, że wtedy uchodziłoby w grę skierowanie do obo zu koncentracyjnego...”.

Do tej ewentualności na razie nie do szło. Władze miejscowe zameldowały przełożonym, że cała czwórka wyjecha ła z Dąbrowki i zamieszkała u krewn ych w Berlinie. Nie na długo jednak. Z relacji mieszkańców Dąbrowki wyni ka, że Kasprzak, Kociolek i Pawelski zo stali 11 września 1939 r. aresztowani i wysłani do obozu koncentracyjnego. Skąd w późniejszym okresie zwolniono ich i skierowano na roboty przymuso we w głąb Niemiec. Natomiast Tomasz Kociolek zdołał uciec i latami ukrywał się — najpierw na strychu we własnej zagrodzie, a potem u sąsiadów. Dopiero w styczniu 1945 r. po wyzwoleniu wy szedł z ukrycia.

Zachowały się również w aktach po niemieckich rozporządzenia o rozwiąza niu wymienionych w „Kurjerze Warsza wskim” polskich organizacji na Pogra niczu. Czytamy w nich np.: „Na pod stawie art... rozwiązuje niniejszym orga nizację miejscową Związku Polaków w Niemczech w Dąbrowie ze skutkiem na tychmiastowym, gdyż działalność Wa sza jest niewłaściwa z uwagi na bezpie czeństwo publiczne. Wskazując na posta nowienia karne art... zakazuje wszel kiej działalności, która stanowiłaby pró bę dalszego prowadzenia tej grupy lo kalnej lub też utworzenia nowej stano wiczej sobie te same lub podobne ce le”.

A działło się to wszystko w czasie, gdy propaganda hitlerowska głosiła, iż mniejszości niemieckiej w Polsce dzieje się straszna krzywda. I te rzekome krzywdy posłużyły Hitlerowi za jeden z pretekstów do napaści na Polskę w dniu 1 września 1939 r.

WIKTOR LEMIEŚ

Kamienie mówią

Z Fundacji im. Rodziny Nissenbau mów (00-105 Warszawa, ul. Twarda 6, tel. 24-14-77) otrzymaliśmy interesujący tekst, który poniżej publikujemy.

Przez prawie pół wieku, tysiące lu dzi przechodziło codziennie przez most nad kanałem Rypinkowskim w Kaliszu. Spoglądając na nabrzeża nie zdawali sobie sprawy, jaką tajemnicę kryją sz re, wilgotne kamienie, którymi były wy lożone obydwie strony kanału.

Tylko nieliczni znali tę tajemnicę i wiedzieli, że są to pomniki nagrobne (tzw. macewy) ze starego żydowskiego cmentarza.

W czasie II wojny światowej hitle rowcy swoją nienawiść skupili nie tyl ko na ludzkiej pochodzenia żydowskie go, ale niszczyli w sposób bezwzględny wszystko to, co było związane z trady cją i kulturą żydowską w Polsce.

Także w Kaliszu hitlerowcy zniszczyli wszelkie ślady wielowiekowej obecności Żydów w tym mieście. Zburzono syna gogi i inne budynki związane z obrzą dami religijnymi. Zlikwidowano stare za bytkowe cmentarze, a płyty nagrobne użyto jako materiału budowlanego.

Z istniejących przed II wojną świa tową ponad dwóch tysięcy nekropoli ży dowskich w naszym kraju przetrwało ich zaledwie 634.

W Kaliszu do prac związanych z lik widacją cmentarzy żydowskich i umac nianiem nabrzeży Kanału Rypinkow skiego, Niemcy użyli jeńców angielskich, którzy jedną ze stali najprawdopodob niej celowo ułożyli tak, aby widnieją cy na niej hebrajski napis mógł być w pewnych warunkach widoczny — tym samym stanowiąc wyraźny ślad dla po tomnych.

Tych kamieni jest ponad dwa tysiące i tworzą one jeden z największych, je żeli w ogóle nie największy zachowany zbiór w Polsce. Przeważnie są znako mienie zachowane, a wiele z nich przed stawia wysokie walory artystyczne z epoki wczesnego średniowiecza.

Najstarszy kaliski cmentarz żydowski zlikwidowany przez Niemców liczył po nad 700 lat, bowiem losy społeczności żydowskiej w dziejach Kalisza datuje się od XIII wieku. Dowodem na to jest

najdawniejszy dokument świadczący o obecności Żydów w Polsce „Statut Ka liski” z roku 1264, w którym książę Bo lesław Pobożny nadał gminie żydow skiej w Kaliszu pewne przywileje są dowe.

Pełną wartość wydobywanych obecnie płyt nagrobnych będzie można ocenić dopiero wówczas, gdy wszystkie napi sy zostaną odczytane, a cały zbiór nauko wo opracowany przez Żydowski Insty tut Historyczny w Warszawie, któremu to zadanie powierzono. Inicjatorem i wy konawcą całości przedsięwzięcia polega jącego na wydobywaniu i zabezpieczeniu płyt nagrobnych jest Fundacja Rodziny Nissenbaumów, której założyciel Zyg munt Nissenbaum, były więzień hitle rowskich obozów śmierci, jako cel po stawiał sobie m.in. ratowanie śladów kul tury żydowskiej w Polsce.

Fundacja finansuje całość prac łącznie z inwentaryzacją i konserwacją oca lałych stali oraz przygotowaniem stałej ich ekspozycji na terenie cmentarza ży dowskiego przy ulicy Podmiejskiej w Kaliszu.

Zakończenie wszystkich prac, łącznie z ustawieniem stali nagrobnych i upo rządowaniem całego cmentarza przewi dziano na lipiec br. W tym bowiem cza sie z okazji 50 rocznicy wybuchu II woj ny światowej, odbędzie się w Kaliszu wielki zjazd roszniących po całym świcie Kaliszan narodowości żydowskiej, a także ich dzieci i wnuków.

Nie ukrywają oni swojej tęsknoty do „starego kraju”, a także swojej pasji szukania korzeni, które tkwią właśnie w tym mieście i w tym kraju. Do nich znowu przemówią i odkryją swoją ta jemnicę kamienie, które prawie po 50 latach ponownie znalazły się na wlas ciwym, godnym miejscu.

Fundacja Rodziny Nissenbaumów, któ rej zasługą jest podjęcie tego ważnego zadania, została oficjalnie zarejestrowa na w 1985 roku i od tego czasu z jej funduszy odbudowano i zrekonstruowa no już szereg cmentarzy, synagog i in nych pamiątkowych obiektów kultury żydowskiej. Upamiętniła też wiele miejsc walki i męczeństwa narodu ży dowskiego w okresie II wojny świa towej.

ciąg dalszy ze str. 1

Tak, myślę, że znalazłaby się co wie cior taka garstka. Lepszą frekwencję miałyby również wstrząsające, współ czesne, świetnie zrobione radzieckie „Wysypisko”, zwłaszcza, że kto wie — czy per analogiam nie zostanie kiedyś wysypiskiem polskim... Dorosła publiczność miałyby także „Balladyna”. Były by większe zainteresowanie teatrem, gdyby potencjalny widz otrzymywał nie ustannie odpowiednio podawaną ofertę! Teatr musi informować, o tym, co ro bi! Słać donosy, anonsy, telegramy, re klamy! Narzucać się i atakować! Uwo dzić widza! Podpowiadać mu miłość do sceny i sztuki!

Nie jest to proste, zwłaszcza, że wią że się z wydatkami, a kultura teraz po pada w wyjątkową, wręcz straszliwą

dzie z Witebska zwróciłem się do dy rektora naczelnego w tej sprawie. Za pytałem, czy nie można by spowodować zainteresowania prasą naszymi występami w Białorusi i kontaktami jakie uda ło się nawiązać. Nasz reżyser właśnie za czął robić tam „Tango” Mrożka, nato miast reżyser radziecki u nas „Wysy pisko”. Młodo byłoby przeczytać choćby wzmiankę w rubryce zagranicznych wy jazdów w miesięczniku „Teatr”, nie mó wiąc już o „Gazecie Lubuskiej” i „Nad odrzu”. Inne teatry w takich przypad kach zwołują konferencje prasowe. Od powiedz, jaką usłyszałem, miała ton os trowego skarcenia: „to nie twoja sprawa, ja tu jestem dyrektorem!”

Poza Hoffmanem, który w Zielonej Górze wytrzymał rekordowo pięć sezo nów, żaden z dyrektorów — Zurom ski, Bieliński, Pliszkiwicz, Meissnerowa, Wawrzyniak, Kurpanik, w latach 60-tych Czechak, Mirecki i Stok, przed

przez Wydział Kultury za oszczędności, robione naszym kosztem...)

Po pierwszym, niezbyt efektownym okresie porządkowania, miał nastać czas pogody dla artystów i miłości wzajemnej z publicznością. Niestety, nie ta kiego nie nastąpiło, choć zaciśnięcie pasa pozwalało teatrów utrzymać opi nię dobrze prowadzonego zakładu pra cy.

Wprawdzie było kilka premier bardzo dobrych, jak „Król Ubu”, „Szlaka me nażeria”, „Pokołówki”, nie było „Ko nopielka” i „Laweczka”. Ale wewnątrz wszystko się rozlatywało. Poglądano się niezadowolone w zespole artystycznym. Do granic monstrualnych rozrosła się administracja, na czele z dyrektorem. Trzynastu aktorów „w dramacie” miu w „lalkach”, jest czterech dyrektorów, sześć księgowych i piętnaście sprzątaczek... Z jednej strony ciecia po gażach, zmniejszanie dodatkowych za robków. Z drugiej rozrost etatów. Łącz na liczba pracowników teatru wynosi około 140 osób.

(Z listu aktorów skupionych w kole ZASP, do Zarządu Głównego tego zwia zu: „Głęboko dramatyczna jest sytuacja sceny lalkowej, która od dwóch sezo nów nie posiada w ogóle dyrektora artystycznego. Obecny szef tej sceny ja ko „zastępca dyrektora naczelnego do spraw sceny lalkowej” nie posiada żad nych kwalifikacji do kierowania tea trem lalkowym. Nieliczny zespół aktorów — lalkarzy rozpada się...”)

Jeszcze jedno westchnienie do czasów przeszłych, gdy teatrem tym kierowała Irena Dragan. Czy teraz, przy tak małym zespole, jest w ogóle sens rozdzie lania obu scen? Czy nie korzystniej bę dzie dla teatru podporządkować scenę lalek wraz z dramatem jednemu kie rownictwu artystycznemu?

Od około trzech miesięcy dyrektorem artystycznym jest Janusz Kozłowski. Dy rektor naczelną choruje, przebywa na leczeniu poza Zieloną Górą i podobno oficjalnie zgłosił w Urzędzie Wojewód z kim chce przejść na rentę. Podobno, ale nie na pewno.

Skończył się sezon i trzeba myśleć o następnym. Tak się dzieje we wszyst kich teatrach. Tymczasem dyrektor artystyczny, w obecnej strukturze istnie jącej w teatrze zielonogórskim, ma ręce związane. Nie on decyduje o uposa żeniach! Nie jemu podlegają sprawy związane z widownią i eksploatacją przedstawień! Nie ma możliwości inicjowania jakiegokolwiek reklamy!

(Z protokołu z zebrania zespołu aktor skiego: Janusz Kozłowski: — W takim ukła dzie, kiedy nie ode mnie nie zależy, kiedy muszę o wszystko prosić, nie widzę moż liwości prowadzenia tego teatru. Zwłasz cza, że o cokolwiek w tej chwili proszę, nie nie daje się załatwić...)

(Z listu do Zarządu Głównego ZASP: „Analiza trzech ostatnich sezonów wsk azuje wyraźne obniżenie poziomu arty-

BUNT W TEATRZE

mizerię! Ale gdzie indziej jakoś to wszy stko funkcjonuje — że dla przykładu podam dobrze sprzedawane karnety na festiwal, sprawnie działającą organiza cję widowni w „Estradzie” czy świetny impresariata „Mazowsza”. Skoro można ściągnąć ludzi do amfiteatru, można też skusić ich do teatru!

Kłopoty z widownią są zjawiskiem ogólnopolskim. Borykają się z nim teatry, kina i estrady w całym kraju. Ale to nie powód, by w Zielonej Górze złożyć ręce i czekać na Godota. Otwarcie ka sy i bierne czekanie na widza nie za latwia sprawy. Wokół budynku pusto, chłodno, nie się nie dzieje. Przyjdzie widz, dobrze. Nie przyjdzie, też dobrze, zamyka się interes — i do domu. A co wtedy czuje aktor?

Ktoregoś dnia do kasy podszedł sa motny kandydat na widza i poprosił o sprzedanie biletu. — Niech pan nie ku puje — odradziła mu kasjerka — po nieważ to przedstawienie odwołamy, nie ma na nie chętnych. Kandydat na wi dza zapytał wówczas, co o takiego jest grane. Kasjerka wymieniła tytuł i po informowała, że „nikt na to nie chodzi”. Był to właśnie „Mały ilustrowany ka rawan”, a owego widza „zagrał” reży ser tego przedstawienia Wiesław Hol dys. Opowiedział to potem aktorom...

Nie wiem, czy to prawda. Prawdą na to miast jest, że to przedstawienie jest szampański! Grane cudownie! Z nie opisany wdziękiem, nerwem i talen tem! Cztery aktorki: Aldona Paczkow ska, Sigrid Siewier, Irena Wójcik i Mał gorzata Wower dają z siebie dosłownie wszystko. Premiera 28 maja br. przyje ta została z wielkim aplauzem.

(Aktor 1: — Cały kwadrans trwały owacje... Niestety, potem nastąpił bez ruh i cisza. Pierwsze przedstawienie popremierowe odbyło się dopiero po ty godniu.)

Aktor 2: — Tak się nie robi z mło dym spektaklem...

Aktor 3: — Dziewczyny wykonały kawał dobrej roboty, niestety, nikomu

nimi Okopiński, Zegalski i Koczanowicz, żaden nie zagrał miejsca. Co rusz więc nastawały nowe rzędy i nowe stwierdze nia, że wprawdzie było źle, ale teraz już będzie dobrze.

Ciekawy jest casus Okopińskiego. Kie rował on tym teatrem trzy sezony. Sta ła się rzecz nie do wiary! Ponad 28 lat przetrwało pojęcie „teatru Okopińskie go” w Zielonej Górze! Cóż takiego nad zwyczajnego działało się wówczas w tym teatrze?

Z tego, co wiem z opowiadań, wnio suję, że Marek Okopiński — dziś już le genda i sława, wówczas będący w wie ku Janusza Kozłowskiego, z gronem dob ranych współpracowników, wśród nich Stanisławem Hebanowskim, przy ist niejących wtedy pomyślnych układach z władzami zarządzającymi kulturą, stworzył po prostu teatr aktywny, a w nim i wokół niego — dobrą atmosferę. Było dużo przedstawień, dużo oklas ków, rozmów, ruchu, dużo recenzji. Ak torzy czuli się potrzebni. Była frekwen cja! Przyjazny stosunek dyrektora do aktorów! Czyli było wszystko to, czego dziś brakuje.

Złoty okres Okopińskiego przypadł na czas wczesnego jeszcze rozwoju te lewizji i ludzie chadzali do kin i te atrów nie mając wyboru. Ale przecież także w późniejszych latach, za panowa nia innych dyrektorów — np. Hoffma na i Zuromskiego, co już pamiętam do skonała, i później za Meissnerowej i Kurpanika, teatr był miejscem życia, pulsacji, ośrodkiem myśli i działań, miał swój klimat, swoich fanów i sateli tów!

(Aktor 4: — Mielismy mnóstwo pracy. Przed południem przedstawienia szkol ne, wieczorem dla dorosłych, dodatko wo popołudniówki, w nocy kabaret, w międzyczasie monodramy, programy po etyczne i inne małe formy...)

Aktor 2: — Funkcjonowały stałe sce ny wyjazdowe w terenie, kwitła współ praca z klubami i domami kultury...)

Westchnienia do przeszłości tylko po-



Aleksiej Dudariew „Wysypisko”, reżyseria Walery Mazyński, scena zbiorowa.

niepotrzebnej, niedocenionej...)

Widownię, bez względu na rodzaj i treść sztuki, stanowi przeważnie młode dzieć nie przekraczające wieku „piętej B”.

(Aktor 4: — Gramy „Wysypisko”, sto ję w kulisach i pytam kolegę, który właśnie zeszedł ze sceny: — Maluchy dziś czy starszaki — maluchy — odpo wiada kolega — bo starszaki pewnie przyjdą na „Karawan”...)

Teatr zielonogórski stracił operatywność! Żyje jakby na wyspie, zdala od ludzi! W sferze kontaktów z publiczno cią zapanowała indolencja — niezarad ność, nieudolność! Całkiem zanichano reklamy. Nie ma konferencji praso wych. Nie tak dawno zespół bawił na występach w Witebsku. Był to pobyt bardzo udany. Zaowocował dalszą współpracą.

(Aktor 3: — Prasa nie napisała na ten temat nawet zdania! Ani miejscowa, ani centralna! Kompletny brak zaintereso wania!)

Ja powiem inaczej: brak informacji ze strony teatru!

(Aktor 7: — Dwa tygodnie po przyję

głębiają dramatyzm tego, co jest obec nie. Minęły trzy sezony, odkąd dyrek torem naczelnym jest ekonomista. Do Zielonej Góry przyszedł z Koszalina, ra zem ze swym zastępcą, z którym tam współpracował, dyrektorem artystycz nym. Pisałam wówczas w „Nadodrzu” i w miesięczniku „Scena” o nowych po rządach w zielonogórskim teatrze. Gos podarka była rozpreżona, wydatki roz dęto, co krok jakaś nieprawidłowość i niegodność z przepisami.

Duet Górski — Rotnicki rozpoczął rzą dy od cięć finansowych.

(Aktor 1: — Przez cały czas mamy zareżone gaże. Ciekawe, czy po to, by dyrekcja miała wyższe premie, czy też dla skłaniania oszczędności na czarną go dzinę?)

Aktor 2: — Czarna godzina właśnie nadeszła. Zarabiamy poniżej średniej krajowej. Mamy zareżone ponadnormo ki. Nikt o nas nie dba...

Aktor 3: — Nasz szef, dyrektor ar tystyczny nie ma wpływu na nasze pla ce!

Aktor 4: — Staliśmy się teatrem złym nie z naszej winy. Mimo to chwalonym

Fot. CZ. LUNIEWICZ

stycznego... Liczba widzów jest szczyt kowa... Mamy nieprzychylnie recenzje. Jesteśmy nieobecni w ogólnopolskim ży ciu teatralnym... Działalność artystycz na została zepchnięta na ostatni plan... Zespół artystyczny głęboko zdesperowa ny, prosi o pomoc w przywróceniu jed nego właściwego modelu: to jest, aby dyrekcję naczelną w teatrze objął dy rektor artystyczny...)

Dramatyczną sytuację, jaka zapano wała w teatrze zielonogórskim, nakreśliłam na gorąco. Spodziewana jest ja kaś reakcja ze strony Urzędu Wojewód zkiego. Spodziewany jest przyjazd komi sji ZASP. Co będzie dalej, zobaczymy.

HALINA ANSKA

P.S. Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW Barbara Fijałkowska powie rzyla dyrektorowi artystycznemu teatru Januszowi Kozłowskiemu pieczę nad re klamą i Biurem Obsługi Widzów, tym samym także nad eksploatacją przed stawień. Zespół czeka teraz (z nadzieją) na dalsze decyzje, które ostatecznie zmie nią model zarządzania teatrem.

(h)

Z ZIELONEJ GÓRY DO NOWEGO JORKU

W bydgoskich „Faktach” (nr 23) ukazała się rozmowa z URSZULĄ DUDZIAK, znakomitą wokalistką jazzową, przeprowadzona przez Jerzego Florczyka. Na zasadzie „przeglądu prasy” publikujemy jej fragmenty.

— Odkrył pania Krzysztof Komeda będący od dawna miłem okrusu katalumbowego polskiego jazzu. Jaki był?

— Żył z głową w chmurach i sercem w muzyce. Był nieśmiały i mało-mówny, ale przez to fascynujący. Praca z nim była dla mnie niezwykle ważną szkołą. Prawdą jest, że Komeda mnie odkrył, gdy byłem licealistką w Zielonej Górze. Przyjechał tam z zespołem „Tingle Tangle” z Krystyną Sienkiewicz i Siawą Przybylską. Muzycy z hotelu „Śródmiejski” powiedzieli mu, że „jest tu taka jedna, co śpiewa jazz”. Nazajutrz odbyło się przesłuchanie...

— To brzmi zawsze dwuznacznie...

— Poszłam z bratem Leszkiem, też jazzmanem. Obecna była żona Komedy — Zosia. Zaśpiewałam dwa standardy „Goody, Goody” i „Stompin at the Savoy”, które znalazł w wykonaniu Elli Fitzgerald z audycji Willisa Conovera w radiu amerykańskim. W wakacje zaczęłam śpiewać z trio Komedy w warszawskiej piwnicy „Hybrydy”. Po zrobieniu matury często śpiewałam z jego grupą. On dodał mi otuchy, natchnął wiarą we własne siły.

— Jest pani góralka ze wsi Straconka — co znaczy dla pani folklor?

— Wydaje mi się, że bardzo dużo folkloru jest w mojej muzyce, w moich kompozycjach. On był, jest i będzie. Jestem częścią folkloru...

— W kompozycjach Michała Urbaniaka — wykonywanych też przez pania — odnaleźć można motywy krakowskie, podhalańskie, kujawskie. Czy ludowe motywy wyrażają waszą tęsknotę za starym krajem?

— Na pewno jest w tym nutka tęsknoty i zawsze będzie. Jest coś takiego, co wrosło w nas na zawsze i jest częścią nas. To się przejawia w kompozycjach, nastrojach, stylu. Jest to zupełnie naturalne.

— W polskim tournée towarzyszy pani siostra, a czy brat Leszek jeszcze gra

na perkusji, czy też na stałe osiadł już na wiejskiej farmie pod Göteborgiem?

— I to, i tamto. Osiadł na farmie i gra, ale komercyjnie.

— Jest pani obywatelką polską, czy amerykańską?

— I taką, i ową. Odczuwam po prostu podwójną przynależność obywatelską.

— Jak pani wychowuje córeczkę?

— One mówią w domu po polsku, czytają po polsku. Znają Polskę na razie z opowiadań, ale przyjadą tutaj w tym roku na wakacje. W szkole uczą się angielskiego i mówią po angielsku. One urodziły się w Stanach Zjednoczonych, ale wychowuje je dwujęzycznie. Modlą się po polsku, chodzą do katolickiej szkoły, znają dużo polskich piosenek. Mikusia i Kasia od samego początku były wychowywane po polsku, dopiero jak poszły do szkoły, zaczęły mówić po angielsku.

— Mają zainteresowania muzyczne?

— To różnie bywa. Kasia uczyła się gry na skrzypcach, potem chciała na harcie, flecie, byleby tylko nie na skrzypcach. Potem chciała Kasia być baletnicą, a Mika aktorką. Radziłam im się profesora muzyki, który orzekł, że nie powinno się dzieci zmuszać...

— Trzy lata temu, po dwudziestu latach małżeństwa rozpadła się jedna z najbardziej interesujących spółek muzyczno-małych współczesnego jazzu Dudziak — Urbaniak. W jednym z wywiadów pan Michał powiedział: „Znaczy to, że nasze muzyczne drogi rozeszły się. Ona poświęciła się wokalistyce a capella, ja swojej muzyce. Krótko mówiąc, Urszula zajęła się swoją karierą, ja swoją”...

— Wykonuję nadal jego kompozycje, więc w jakiś sposób jestem nadal z nim związana...

— Czy „Tamta pani się nie liczy”...

— Chodzi o piosenkę, czy o podtekst osobisty? Czy tamta pani czyli kobieta, która odebrała mi Michała Urbaniaka już się nie liczy? Czy też może o to chodzi, czy tamta pani, jako ja kiedyś wpatrzona w Michała, inspirowana przez niego, jakoś skrepowana — a teraz wolna — już się nie liczy?

— ...?

— „Tamta pani się nie liczy” to piosenka, którą przed laty nagrałam dla Polskiego Radia. Jeśli ma pan na myśli mnie — jako piosenkarkę — komercyjną, która śpiewa popularne piosenki to nigdy się tego nie wyrzekłam i wracam do wspomnień z sentymentem, więc zdecyduję, że „Tamta pani się liczy”...

— Pani Urszulo, powiedziała pani, że jest pani komercyjną piosenkarką, a w Europie próbowała pani nagrywać pop-music, ale stwierdzono, że chcą Urszuli Dudziak jako śpiewaczki jazzowej...

— Śpiewam to, na co mam ochotę, a to czy jest to zaakceptowane, czy nie — to już inna sprawa.

— Historia życia ilustrowana muzyką — to nowy pani program, którego premiera odbędzie się w Nowym Jorku. Czy nie za wcześnie na takie resume?

— Że jeszcze żyję? Nie, myślę, że mam za sobą połowę życia. Dla jednego roku to dziesięć lat, dla innych rok to jeden dzień. W moim życiu już się tyle wydarzyło, że mogę mówić o rzeczywistości ciekawym okresie mojego życia. Jest to kombinacja najlepszych rzeczy, które nagrałam z Michałem, czy ja sama w przeszłości. Pokazane jest to w nowy sposób, z moimi maszynami. Dużo w tym będzie biografii. Wystąpię sama i z zespołem składającym się ze znakomitych muzyków. Obiecał także wpaść i zaśpiewać ze mną Bobby McFerrin. Jak będę miała osiemdziesiąt lat, to zrobię dalszy ciąg.

— Jest pani zafascynowana Bobby McFerrinem?

— Bobby zrobił wielki przełom w wokalistyce jazzowej. Wychodzi na scenę sam, śpiewa przez godzinę lub dłużej i potrafi utrzymać wszystkich przez ten czas w napięciu. To wielka sztuka. Ma niesamowitą łatwość śpiewania, znakomitą technikę i ogromne doświadczenie. Umie grać na wielu instrumentach, świetnie na trąbce i fortepianie. Świetnie improwizuje. To jest fenomen. On ma taki totalny luz, tak podchodzi do ludzi z sercem. Wynika to z jego natury i może z tego, że jest czarny.

— Jak pani ocenia polskie wokalistki jazzowe?

— Świetnie. Prośko mi się podoba. Ewa Bem jest świetna.

— Na polskich topach byłyście na zmianę w czołówce...

— Tak. Ewa Bem jest świetna naprawdę. Rosną też młodzi śpiewacy jazzowi.

— Czy królem jazzu można zostać tylko w Nowym Jorku?

— Bardzo dobre pytanie. Dotychczas tak było. Chyba tak, jest to racja.

— Czy mieszkanie na Manhattanie — życie w tłoku, zgiełku, hałasie — muzykowi nie przeszkadza?

— Uważam, że Manhattan nieprawdopodobnie inspiruje. Można wiele rzeczy podpatrzeć, wielu się nauczyć. Manhattan jest fantastycznym, jedynym miejscem na świecie...



Urszula Dudziak znów po latach w Zielonej Górze...

Fot. TOMASZ GAWAŁKIEWICZ

Krótko po północy do mego pokoju zapukał Serge Bonamy. Był nagi do pasa, tylko w bokierskich szortach. Uśmiechnął się znacząco.

— Pozdrowienia od Tiny. Ona czeka na ciebie. Idź zaraz.

Podniosłam się z fotela. Włożyłam czarny, jedwabny peniarz i wulnym krokiem poszłam w kierunku sypialni Tiny. Zapukałam.

— Come in — usłyszałam w odpowiedzi.

Pokój wypełniony był trofeami myśliwskimi. Na ścianach głowy antylopy i niedźwiedzi oraz rogi jeleni. Na podłodze skóry z drapieżnych zwierząt. Panował półmrok. Trzeszczał ogień w kominku.

Tina leżała w wielkim łóżku. Miała na sobie cienką białą koszulkę sięgającą bioder. Jej mąż Thierry stał odwrócony do niej plecami i patrzył w okno. Był całkiem nagi.

W milczeniu Tina wyciągnęła rękę i pieszczotliwym gestem przyciągnęła mnie do siebie.

Tej nocy kochaliśmy się we troje. W momencie finałowym Tina rozplakała się...

W głosie Marii Lahr brzmiała nutka dumy:

— Tak, byłam kochanką Christiny Onasis!

W rozmowie telefonicznej z redakcją zachodnoniemieckiego miesięcznika „Tempo” Maria Lahr zapowiedziała ujawnienie przyczyn tajemniczej śmierci 37-letniej miliarderkę. Teraz siedzi z dziennikarzem w swym trypokojowym mieszkaniu w Wiedniu i mówi tylko o „dziwnym przeczuciu”. Jest przekonana, że jej przyjaciółka Tina nie zmarła w sposób naturalny. Jednakże konkretnych dowodów, iż miałyby to być morderstwo, nie ma.

— Wiem, że Tina od dawna czuła się zagrożona — mówi — gdy znalazł się martwa w kąpiele, nie żyła od wielu godzin. Z całą pewnością została zamordowana, a w tej całej smutnej sprawie można dopatrzeć się analogii do przypadku Marylin Monroe...

Maria Lahr zagłębia się wygodnie w białym, skórzanym fotelu. Odziana jest w strój wyjątkowo niedbały jak na spotkanie z przedstawicielem prasy: w stary, wysłużony szlafrok, spod którego widać jej obfite biust.

Obok fotela stoi witryna, zawierająca dość szeregowe eksponaty. Są to po złacane odlewy intymnych części ciała Marii Lahr. Ta ekspozycja została wykonana w Nowym Jorku, i jest, jak mówi Maria, czymś w rodzaju jej „kar ty wizytowej”.

Maria Lahr jest artystką-plastyką, poza tym kobietą o wyraźnie określonych skłonnościach biseksualnych. Naj

chętniej maluje kobiece akty. W jej obrazach można dostrzec tendencje do secesji. Czasem wystawia swe prace w galeriach. Często o niej piszą wiedeńskie gazety. Znana jest również na wiedeńskiej „scenie lesbijskiej”.

Z szuflady biurka wyjmuję plik zdjęć: Tina w plażowym kąpielowym, Tina tylko w pończochach, Tina nad morzem, Tina w samochodzie, Tina grubą, Tina odchudzona, Tina w czułym uścisku z Marią.

Miłość i śmierć Christiny Onasis

Przygoda miłośna Marii Lahr ztyczne obrazy. Szybko domyśliłam się, że Christina Onasis zaczęła się nie-oczekiwanie w lutym 1984 roku. Idąc ulicą Maria zaczęła fotografować francuskiego „Paris Match’a” Serge Bonamy, który akurat przebywał w Wiedniu. Zaproponował Marii serię zdjęć i zabrał ją w tym celu do Paryża. Wkrótce potem zaprosił ją na narty do St. Moritz.

Kiedy przybyli tam oboje, padał gęsty śnieg. Na peronie kolejowym czekała ciemnowłosa kobieta o dużych czarnych oczach, ubrana w modny narciarski kombinizon.

— Halo — powiedziała — jestem Tina. Cieszę się, że będę was gości.

Serge Bonamy, jako długoletni, serdeczny kolega czwartego męża Tiny — Thierry’ego Russela, często bywał gościem tej pary. W ten sposób również Maria Lahr trafiła do zimowej posiadłości Onasisów. Tę noc spędziła z Serge’em.

Nazajutrz późny obiad na tarasie. Wśród wykwintnych dań, ostrogi na różne sposoby. W wazonach kwiaty, kelnerzy w liberyach ze znakami „O”. Towarzystwo złożone z kilkunastu osób rozmawiało po francusku i grecku. Na stole rozległ się rozkazujący głos Tiny:

— Przecież Maria nie rozumie ani słowa! Proszę państwa, od tego momentu mówimy wyłącznie po angielsku!

— Poszukiwała moich oczu. Potem było jeszcze kilka spojrzeń i nic więcej. Podeszła tego weekendu nie zdając się na nic. Nie miałam nawet okazji porozmawiać z Tyną. Wszystko było dla mnie dziwne i fantastyczne: to bogactwo, ten styl życia i zachowania.

Miałam wrażenie, że jestem małym dzieckiem, które nagle trafiło do świata samych dorosłych...

W sześć tygodni później u Marii Lahr zjawił się Serge Bonamy i zabrał ją tym razem do pałacu myśliwskiego Onasisów, na południe od Paryża. Pałac w promieniu dziesięciu kilometrów otoczony jest gęstym lasem.

Tina pokazywała mi ten wspaniały las, a ja jej katalog z mojej najnowszej wystawy. Chętnie oglądała ero-

zję na Morzu Jońskim. Wkrótce została tam zaproszona Maria Lahr.

— To przepiękne miejsce urządzone jest tak, by mieszkańcom nie brakowało doświadczeń. W przystani kołysze się 35-metrowy jacht. Jest też mała stocznia. Stoł kilka wspaniałych willi oraz trzy domy dla służby i strażników. W garażach są samochody terenowe, traktor i błyszcący Rolls-Royce, w hangarach łodzie i helikoptery. Są stajnie dla koni, kino ze sportowym archiwum filmowym, kaplica oraz supermarket.

Maria otrzymała dla siebie apartament, auto i służbę. W supermarketach mogła wybierać gratis, na co tylko miała ochotę. Śmieje się teraz:

— Niesamowita sprawa; kupować i nie płacić!

Tina mieszkała w willi, którą jej ojciec Arystoteles Onasis zbudował krótko przed swą śmiercią. Wyglądało tak, jak gdyby się ukrywała. Rzadko wychodziła na zewnątrz. Tylko raz po kazała się na plażę. W rozmowie z Marią wyznała, że czuje się bardzo źle z powodu nadmiernej tuszy. Zachowywała się dość dziwnie. Kilka razy dziennie zmieniała bieliznę, natomiast rzadko myła włosy i... zęby. Małą Athinę wywoziła na spacer niania.

Pewnego dnia Tina zjawiła się na tarasie i z marsową miną oznajmiła siedzącemu tam towarzyszowi, że zamiera wydać wielkie przyjęcie, na które przybędą goście z zewnątrz.

— Obecność wszystkich mieszkańców Skorpis obowiązkowa — dodała.

Maria Lahr, należąca już do stałej świty Christiny Onasis, na przyjęciu tym poznała high-life, złożony z hrabiów od koniaku i szampa, byznesmenów o znanych nazwiskach, aktorów oraz dalszych członków rodziny Onasis.

Przyjechał m.in. znany argentyński playboy Luis Basulto, który, jako „oso bisty referent” Tiny otrzymał za każdy dzień „pracy” tysiąc dolarów. Zjawił się też Alain Delon, któremu natychmiast dopisało szczęście — i w partyjce backgammona wygrał od Tiny nieprawdopodobną sumę pieniędzy.

Zaproszonych zostało, po uprzedniej starannej selekcji, kilka matek z dziećmi, które ewentualnie mogłyby być towarzyszami zabaw dla małej Athiny. Tym razem zadecydowano, by córeczka Christiny bawiła się z prawniczką generała Franco.

Menu było wprost obłędne: zupa kawiorowa w wielkich ilościach, paszlet

z kawioru, krem z łososia i trufle. Do tego oczywiście alkohole oraz świeża, dietetyczna coca-cola sprowadzana samolotem każdego dnia z USA.

Zanim Tina opuściła wyspę i wróciła do Paryża, wydała zakaz przebywania na plażach Skorpis w stroju topless. W tym czasie potrzebowała już pięciu tabletek nambutalu, by zasnąć.

Dla Marii Lahr pobyt na Skorpis był więzieniem.

— Gdziekolwiek się znalazłam, na plaży, na ulicy, nawet w toalecie nigdzie i nigdy nie byłam sama. Kiedy sięgałam ręką po krem do opalania lub przyjmowałam drinka podawanego mi przez kelnera, mój ruch był rejestrowany przez fotokomórki i kamery. Tina bała się o siebie i swoich gości. Przychodziło jej do głowy, że mogą zostać uprowadzona.

Jeszcze raz spotkali się wszyscy na Skorpis, na wielkim party według pomysłu Tiny. Tym razem miał to być, jak określiła Tina, „całkiem zwyczajny włoski piknik z pizzą, spaghetti i czerwonym winem”. Towarzystwo liczyło około pięćdziesięciu osób. Tina wybrała najładniejszy fragment plaży i obojętnie go urządziła: stoly w piasku, lampy w kolorach włoskiej flagi na rodowej, z głosników Adriano Celentano. Jedzenie i trunki dowożono na plażę jeep’em.

— Stop — zawołała nagle Tina z wściekłością — natychmiast zawracaj! Spaghetti musi przyjechać Rolls-Royce’em!

Kiedy Tina po raz trzeci próbowała pozabawić się życia żującą nadmierną dawkę nambutalu, Maria Lahr opuściła wyspę.

— Uratowałam się w ostatniej chwili, by nie stać się ofiarą zepsucia, nerwicy i depresji Tiny oraz jej towarzystwa. W tym gronie panowała atmosfera straszna, ale zarazem pociągająca i trudna do odparcia...

Christina Onasis próbowała żyć w różnych miejscach na świecie: w Paryżu, Londynie, Beverly Hills. W jednej ze szwajcarskich klinik odchudziła się, tracąc na wadze dwadzieścia kilogramów. Dzwoniła potem do Marii Lahr i obiecała otworzyć wystawę jej prac w Wiedniu.

Nie zdążyła dotrzymać słowa. W dniu 19 listopada 1988 roku zmarła w pobliżu Buenos Aires w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach.

Tłumaczyła i opracowała BEATA BARTOSIEWICZ

PIEKNA WYSPA

Na Kubę z Moskwy, z trzema krótkimi postojami, leci się dwadzieścia godzin. Pierwszy wypadek nam w Luksemburgu, który z lotu ptaka ogarnia się jednym spojrzeniem. Bajkowy i kameralny. Na dworcu lotniczym plakaty z podobiznami terrorystów poszukiwanych przez policję. W Shannon, w Zachodniej Irlandii, mieliśmy drugi postój. Stąd najkrócej nad Atlantykiem do Gander na Nowej Fundlandii, tajemniczej o zmierzchu wyspie tysiąca jezior niesamowicie wyglądających na przełomie dnia i nocy. Dziś taki lot jest chlebem codziennym i nawet nikt nie stara się pojąć kiedy pokazują, jak założyć kamizelkę ratunkową na wypadek przymusowego lądowania na czy też w oceanie. Z tej bogatej w ryby i zwierzęta wyspy, z pewnością ciągle pachnącej żywicą, bo jakże by było inaczej w Kanadzie, do Hawany jeszcze cztery godziny lotu ponad Nową Szkocją, Morzem Sargassowym mając po prawej stronie w pamięci, nie przed oczami, o dzie sięć kilometrów niżej Boston, Nowy Jork, Filadelfię i Miami.

Hawana po kanadyjskim chłodzie powitała nas, Gustawa Kolińskiego, znanego tłumacza z literatury hiszpańskojęzycznych, nie po raz pierwszy w tamtych stronach i niżej podpisanego, nowiuzna na „nowej ziemi”, prawie trzydziestostopniowym żarem. Było kilka minut przed północą. Później już zewsząd i stale zionęło wilgotnym ciepłem, co na dłużej nie służy Europejczykowi. Niszczą kości. A to dopiero także na Kubie był przedświąteczny żar. Teraz, w lipcu, temperatura jest tam o kilka stopni wyższa.

W czasach mojej młodości ciągle jeszcze śpiewający Janusz Gniadkowski wykrzykiwał, a my za nim: „Kuba wyspa jak wulkan gorąca, u-ha-hoj”. Po blisko czterdziestu latach od tamtych wyobrażeń o Kubie nie tylko temperaturę powietrza na tej urodzajnej wyspie wypadło mi sprawdzić na własnej skórze. Wszystko tu wydaje się być ciepłe i wilgotne, nawet papier. Może właśnie tej gorącej, wilgotnej duchoty przerażał się delikatny Julian Kawalec, autor „Tańczącego jastrzębia”, właśnie wydawanego w Hawanie przez Editorial Arte y Literatura, oficynę bardzo zasłużoną nie tylko dla literatury polskiej, i swój wyjazd przesunął na miesiące zimowe, kiedy to temperatura spada tu o kilka stopni.

Hawańskie lotnisko Jose Martí, jak nasze na Okęcu, pęka w niewielkich pomieszczeniach. Na zewnątrz rozkraczana ciżba oczekujących na przylot krewnych, znajomych, delegacji, ekip czy po prostu turystów. Razem z nami z Moskwy powracają wielu Kubańczyków. Z powrotem samolot wypełniali Rosjanie, często z rodzinami, którzy wracali po zakończeniu kontraktu na Kubie lub na urlop. Ostatnie dolary wydawali w portowych shopach. Później na lotnisku Szeremietiewo, przywaleni tobołami, czekali na dalsze połączenia. Nie wszyscy byli z Moskwy.

Z Hawany bezpośrednio można dziś dolecieć do 26 państw, także do Angoli, Etiopii i Gwinei ze stolicą w Bissau, do Berlina i Pragi. W rozkładzie lotów nie ma, niestety, Warszawy. Kuba nie tylko geograficznie leży pośrodku amerykańskiego kontynentu. To dzisiaj może tak być jedno z centrów świata, jak z pewnością była nim przed pięćdziesiąt laty, z czego wówczas nikt sobie nie zdawał sprawy.

Powitała nas elegancka i życzliwa przyjeżdżającym na tę wyspę Polakom Maria Dembowska, konsjerżka de la Embajada de la República Popular de Polonia, święta tłumaczka z hiszpańskiego, stale zatroskana o nasze sprawy na Kubie i kubańskie u nas, a jak później mieliśmy okazję się przekonać, jest ich pełny worek. Moją niedawną lekturą były również opowiadania Onelio Jorge Gardosa, nieżyjącego już wyśmienitego nowelisty kubańskiego, właśnie w przekładzie pani Marii. Ta znawczyni literatury kubańskiej, Kuby, pamiętała o nas nieustannie aż do odlotu.

Pewien Kubańczyk, który w Polsce nigdy nie był, zapytał: — A Murzyni u was są? — Nie — u słyszał. — A Mulaci? — Też nie. Sami biali. — To u was musi być nudno. Carmen, moja na tamten czas tłumaczka, bo p. Gustaw po hiszpańsku mówi jak po polsku, ładna Mulatka, jest żoną mistrza olimpijskiego w judo z Montrealu, dziś trenera reprezentacji Kuby kobiet. Przez jej dom, w którym mieszka z małenką córeczką — Mulatką i prawie białą matką, przewijają się niegdyś sławni sportowcy, przyjaciele i koledzy jej męża, dziś trenerzy, nauczyciele wychowania fizycznego, świetnie na Kubie rozbudowanego, pracownicy sportowych uczelni i instytucji. Języka polskiego uczyła się Carmen w Hawanie, na czteroletnim studium, była w Polsce, ale krótko. Z miast, które odwiedziła, najbardziej podoba jej się Kraków, może dlatego że swoją urodziwą staroświecą przypomina trochę starą Hawanę. Każdego dnia Carmen pracując zawodowo tłumaczy z polskiego teks-

ty techniczne. Lubi technikę, zna się na niej, ale nie wie, skąd u niej to zainteresowanie. Przełożyła też dwie książki generała Czesława Dęgi, naszego ambasadora w Hawanie, „W lesie i na froncie” i drugą, czysto wojskową, które wkrótce mają się ukazać drukiem. Lubi, jak zresztą wielu Kubańczyków, polskie filmy.

Wozili nas Orestes, sympatyczny, starszy mężczyzna ożeniony z małenką, szczupłą Chinką. Zalażoby się, że w jego żyłach także płynie przynajmniej kropka chińskiej krwi, co jest rzecz jasna bez znaczenia. W Hawanie była dawniej dzielnica chińska i pozostały po niej ślady. Także duża dzielnica Żydów, którzy przyjechali tutaj z Polski. Przez lata dla Hawańczyków byli synonimami Polaków. Wymarli, a ich potomkowie rozproszyli się po świecie albo zasymlowali z Kubańczykami. Pozostali tylko z polską lub z niemiecką brzmiającą nazwiska, bo nazwy, nazwiska jak religie mają najtrwalsze żywoty, w przeciwieństwie do przedmiotów nawet z trwałego materiału.

Kuba to kraj bardzo pięknych kobiet i przystojnych mężczyzn. O tym wszyscy, którzy tam byli, mówią i piszą. Trzeba jednak jeszcze samemu zobaczyć. Niezwykłej piękności jest windziarka a właściwie windziareczka w hotelu „Habana Libre”, Murzynka o europejskich rysach, dużych, czarnych oczach i prostych, długich, oczywiście, również czarnych włosach, i aktorka eksperymentalnego teatru w Holguin, w dawnej prowincji Oriente. Co krok to jakas piękność. Nic dziwnego, że kiedyś na Kubie oszczędni i purytańscy raczej Amerykanie zostawiali majątki. Robili tu to, czego obyczaj nie pozwalał im robić u siebie. Rewolucja, która na Kubie trwa od trzydziestu lat, nakazuje surowość i powściągliwość, nie zawsze przez strzegane, o czym ostatnio dowiedział się świat.

Pan Bóg jak wiadomo stworzył białych i czarnych, a Hiszpanie i Portugalczycy wykorzystując boskie doświadczenie — Mulatów. Murzynskie ślicznotki ubierają się w białe kostiumy i pantofle, noszą białe klipsy, korale i torebki białe szpilki we włosach, często prostych i długich, brązowe, jak mnie przez konywała Carmen, północzochy, tylko o złotych na nich nitkach, które niepokoją migocą w świetle lamp. To przedsmak Tropiancy. Młodzi mężczyźni prawie wszyscy pod wąsem, Prezydent Nikaragui Daniel Ortega ma tu setki sobowtórów.

Miał rację ów Kubańczyk. W Polsce pod jednym względem jest nudno.

Na Kubie chodzą późno spać. O dziesiątej nie tylko śródmieście Hawany — Vedado jest tłoczne i gwarne. Po zapadnięciu mroku, kiedy temperatura nieco spada, ludzie jakby ożywiają się. W restauracjach i kawiarniach wysiaduje się tu do późna często z małymi dziećmi, które oswojone z taką sytuacją zachowują się grzecznie, jedzą albo po prostu w ramionach starszych śpią. Nikt tutaj, amerykańskim wzorem, nie siada przy wolnym stoliku bez zgody kelnera, ale nie jest on senior czy seniora, tylko kompaniero czy kompaniera, co być może powoduje, że tamtejsi kelnerzy, mniej pazerni od naszych, rozliczają się z konsumentami co do centavo. Przed każdym posiłkiem wypija się dużo przegotowanej, wychłodzonej wody. Wódki pić się mało, jeśli już to po kieliszku przed obiadem lub kolacją, w czasie raczej wina albo piwa. Pijących tłumnie widzieliśmy tylko w starym, nadmorskim miasteczku Gibara, któremu przy pomocy włoskich konserwatorów usiłuje się przywrócić dawny wygląd. Była niedziela, południe, a więc pora raczej przedobiednia. W dawnej tawernie wielu mężczyzn raczyło się wódką, nas też gościnnie częstowano. Takie wspólne, braterskie picie to może zwyczaj pozostały po czasach kolonialnych?

Kubańczycy są weseli, życzliwi obcom, a trudny codzienny życia, przynajmniej na zewnątrz, znoszą pogodnie. Cierpliwie stoją w kolejkach przed restauracjami, na przystankach autobusowych, w sklepach. Na Kubie ciężko wiać się koniec z końcem. Wszystko jest tu reglamentowane, z papierosami włącznie, chociaż spore są na wyspie plantacje tytoniu. Reglamentacja wyrugowała zakrzepie tu od lat obszary niedzi. Nikomu nie doskwiera głód. Bogatsi, a tacy są wszędzie, dokupują, już po wyższych cenach. W sklepach wyłącznie państwowych lub spółdzielczych, niestety, dużo pustych półek. Brakuje mydła, proszków do prania, wielu rzeczy. Równocześnie, i to jest ten fenomen zauważany przez wszystkich, którzy tutaj przyjeżdżają, Kubańczycy są czystszy niż do przesady, schludni, gustownie i kolorowo ubrani, dokarmieni. Jak to się dzieje, skąd oni to wszystko mają? Trzeba by tu być znacznie dłużej, aby na to odpowiedzieć.

JANUSZ KONIUSZ

Jolanta PYTEL

Elżbieta SKORUPSKA

Ściana

od dawna jest ze mną ta ściana
znajdują w niej zimową parę młodych jeleni
złożoną na ofiarę pod namalowanym krzyżem
obok mdlejąca madonna
i dziwne że dlonie jej
nawet jednego oddechu nie niosą
i jakby śniące w cieniu krzyża
próżno wymyślone — wzruszeniu przeczą
nad ową ścianą
kuła ognista zjawia się czasami
srebrzyste światło z ogrodków milczenia
próbując wlewać w martwe oczy zwierząt
lecz krzyżem tknięta
o miłosierdzie madonny się roztrząskuje
zbieram wtedy odłamki światła
spod tej ściany
odszeptuję zdziwienie w gasnących oczach
młodych jeleni
schylona jak nad dzieckiem
by może ostatnia jest to ściana
i ta pieśń

Wolno nam milczeć
ustami tulić oddech ciszy

Wolno nam budzić
jezioro
śpiące u zarania
życia

Wolno
słuchać
i nie słyszeć
szelestu obcych stóp
na piasku

Wolno nam
mieć
o jeden szczęścia lut
więcej

KINO PO STANIE WOJENNYM

Ciąg dalszy ze str. 1

ikazujący ciekawie przełom XVI i XVII wieku w zakresie alchemii i odznaczają się raz jeszcze niezwykłą kreacją Olgierda Łukaszczyka, który z „aman-za” przechodzi coraz bardziej do udanych ról charakterystycznych.

Mniej zachwytów wzbudził film Ryszarda Bera „Żelazną ręką” z nienajgorszą tym razem kreacją Jerzego Kryszaka w roli „szarej eminencji”, ale z mało przekonującą pozostałą obsadą i niezręcznym scenariuszem. Film wygląda jak sklejony naprędce z odcinków telewizyjnych, które nam może więcej powie niż o epoce Batorego.

Zagadką dla widzów był film Andrzeja Titkova „Światło odbite” oznaczający się całkowicie bałaganijskim scenariuszem i tak złymi kreacjami dwu debiutantów, że sądziliśmy, iż już gorszych na tym przeglądzie nie zobaczymy. Ten, który grał „poetę”, wyglądał jak współczesny chuligan, a jego admirator i „cięż” — jak młody człowiek nie rozumiejący czego w ogóle od niego chcą i jakim cudem znalazł się na ekranie.

jak i łagowskiej publiczności siedzącej z tyłu. Oba te — często wrogie „klany” — jednym głosem wyły ze śmiechu w „najdramatyczniejszych” momentach filmu. Pozwoliłem sobie określić to dzieło jako trzecią najlepszą polską komedię okupacyjną, tyle że „Gdzie jest generał” i „Giuseppe w Warszawie” były to świetne komedie zamierzone, a to, co widzieliśmy w „Oku cyklonu” (co za pretensjonalny tytuł!) było komedią niezamierzoną. Niewiarygodne jest, że w takie dno wdepnął Tadeusz Huk!

Nie zapamiętałem nazwiska „amerykańskiego” reżysera polskiego pochodzenia i on dobrze na tym wyjdzie.

Tak więc łagowski przegląd filmów fabularnych pokazał nam zarówno szczyty jak i dno naszej produkcji. Mam nadzieję, że klasa „Galicji” nie odrzuci bardziej odpowiedzialnych przedsięwzięć od kontynuowania produkcji niezależnej. Jednakże muszę uczciwie dodać, że mimo straszliwych filmów produkcji państwowej jak „Niebieskie jak Morze Czarne”, „Dziwnicy śmierci”, „Cóż ty za pani”, i kilkunastu innych, takiego dna one nie osiągnęły.

Obejrzelismy też niemałą porcję rozmaitych filmów dokumentalnych, fabularnych lub fabularyzowanych, niestety, w większej części na video, przy bardzo

zapomnianego profesora Lewickiego p.t. „Wiesz jak jest”.

Program był tak bogaty, że jeśli nie widział się kilku filmów wcześniej, (w Krakowie) nie sposób było obejrzeć wszystkich, zwłaszcza, że równocześnie z projekcją odbywały się ważne dyskusje.

Na przykład seminarium Stowarzyszenia Filmowców Polskich miało jako temat w tym roku „Film polski a publiczność” — jak wiemy — niesłychanie aktualny.

Cztery bardzo ciekawe referaty Krzysztofa Mętraka, Macieja Strzembosza, Jarosława Sandera i Waldemara Chłoda dowodzącego poprzedzili tym razem długą i ożywioną dyskusję. Wielu z nas proponowało różne lekarstwa na marazm polskiej widowni, która na ogół dezerte ruje z polskich filmów. Zjawisko to objawiało się na 6 z 9 polskich prapremier. Niestety... jak tylko okazywało się, że film do 20-ej minuty włącznie nie ma „momentów” albo nie jest tryskającym humorem komedią (jak „Konsul”), miejscowa publiczność demonstracyjnie opuszczała amfiteatr.

Co zrobić w takiej sytuacji? Czy należy poddać się presji naszych czasów i kręcić same „Sztuki kochania”?

Interesujący jest tu przykład „Domu Sztuki” na Ursynowie w Warszawie, który ściągając komplety widzów na wszystkie wyselekcjonowane tam wybitne, nieraz trudne filmy polskie. Co prawda, po pierwsze, na Ursynowie mieszka sporo inteligencji artystycznej, a po drugie kino nie jest duże... ale jednak ile małych kin w dużych miastach w Polsce może się podobnymi permanentnymi sukcesami pochwalić?

Wreszcie w Łagowie czekała nas wspaniała niespodzianka.



Krystyna Janda — bohaterka aż dwu filmów wyświetlanych w Łagowie: „Przesłuchanie” (1981) i „Stan wewnętrzny” (1982)

Publiczność, która czasem nie ma racji, wychodziła z tego filmu stadami.

„Światło odbite” wydało nam się już razajutrz niemal filmem europejskiej klasy. Wystartowała bowiem w Łagowie pierwsza w Polsce państwowa a więc niezależna wytwórnia filmowa „Galicja”. Wszyscy ztwardziali przeciwnicy prywatnej produkcji w Polsce mogą zacierać ręce, gdyż „Oku cyklonu” Leopolda Nowaka (scenariusz, opieka artystyczna i jedna z ról głównych) jest — a piszę to z całkowitą odpowiedzialnością za słowo — najgorszym, najbardziej nieprawdopodobnym filmem, jaki widziałem w życiu (wsśród 44.000!).

Film ten, określił jeden z czołowych polskich filmowców jako „największe kuriozum w historii kinematografii światowej”. Żaden producent z głową na carku nigdy nie dopuściłby do takiego taktu bzdur. PO RAZ PIERWSZY ODKAD JEZDZĘ DO ŁAGOWA nastąpiła kompletna symbioza krytyków i twórców siedzących w pierwszych rzędach,

niedobrym odbiorze dźwiękowym i bez rzutnika, co utrudniało zrozumienie i ocenę nieraz bardzo ciekawych dzieł.

Film „Robotnicy 88” Andrzeja Piekutowskiego otrzymał zaszczytne nagrody dla najlepszego dokumentu pokazanego w Łagowie.

Ale byli i inne wspaniałe przeżycia jak na przykład „Waleśa przy tablicy” Mariana Terleckiego ukazujący rozszedek i powagę „trybuna ludu”, jak go kiedyś nazywał nieoceniony Jerzy Waldorff oraz pełen wspaniałego humoru „Alfabet Kisiela” tegoż reżysera. O każdym ze swoich bliskich, znajomych lub przyjaciół Kisiel miał coś złosliwego ale zarazem zabawnego do powiedzenia. Na przykład: „X.Y. biegając przed wojną ciemnym korytarzem wpadł na starszego człowieka. Był to Piłsudski, który huknął „uważaj gówniarzu!” i była to jedyna rozmowa między X.Y. a Piłsudskim...”

Bardzo nierówny, ale w końcowej partii świetny jest film Grzegorza Królikiewicza poświęcony postaci i książce nie-

Przyjechali wybitni twórcy radzieccy, także ze swymi filmami, pokazując między innymi tak wstrząsające dzieło jak „Władza Solowiecka” — opowieść o pierwszym i podobno „ulubionym” obozie koncentracyjnym Stalina.

Obejrzelismy także może jeszcze bardziej wstrząsający film pod charakterystycznym tytułem „Ludzie Stalina”. Są to współczesne rozmowy osób „ideowo” bliskich Stalinowi z jego przełożonym, bezpośrednim podwładnym, który NICZEGO nie rozumie. Wszyscy „jak jeden mąż” chwala pod niebiosa Stalina i jego epokę i wyrzekają na wszystkie wydarzenia „pierestrojki”, ideowo podejrzane a w wynikach pod każdym względem fatalne.

Opisany polski film Nowaka poraził, ale ten przeraził widownię.

Już z tego krótkiego sprawozdania wynika, że LFF w Łagowie było tym razem nad wyraz udane. Także pogoda dopisała.

LEON BUKOWIECKI

No to naraz popłynęły lzy po jej policzkach. A jej matka zupełnie jakby zwiędła niebezpieczeństwem, grożącym jej córce, bo przy kolejnym takim momencie, kiedy Olga z czerwonymi oczami płaczącymi padła na kolana i na ustach miała wypisaną, że wraca z mną, ta zgreda zapukała do drzwi wołając, że na mnie już pora. Ze to już dość długo trwało i że muszę już spać. Kiedy spojrzęłam na zegar, było już za późno, żeby wracać do domu pociągami. Ta baba chciała mnie tak jak stałem wyrzucić na ulicę, ale po długiej szepce z Olą w korytarzu, z której nawet po przyłożeniu ucha do drzwi nie mogłem zrozumieć, mogłem zostać na noc. Na górę w pokój gościnnym. Niedługo potem pokój Olgi. Był jeszcze dokładnie taki, jak go zostawiła. Wyglądało to tak, jakby zawsze leżała się z tym, że jej córka jeszcze kiedyś znajdzie się z powrotem Pod Skrzydłami Mamusi. (...) Położyłem swoje ubranie na krześle o smiesznych nóżkach, które nazywała kiedyś Spłoszonym Jelonekiem, i w którym z wypiekami na twarzy czytała w napięciu o Uparcuszu, jak sobie ścinała warkocze w internecie. I wziąłem się do szukania miejsca gdzie rozciągał nożyczkami firankę, kiedy pewnego razu z jedną koleżanką przytrzymały na łóżku grubą dziewczynkę śniadą i zdjęły jej spodnie, a wtem weszła matka z miseczką czekoladek. Z rozdrażnienia i zawstydzenia z powodu tego półnagiego grubego dziecka wzięła nożyczki i ciachnęła nimi raz firankę. Otworcie, że zobaczyła to matka. Dostała za to straszne lanie. Nie mogłem znaleźć tej dziury. Firanki musiały być nowe, albo to się zdarzyło w poprzednim mieszkaniu nad kanałem, o czym opowiadała, że woda odbijała słońce na sufit i że to było takie uspokajające. Ze mogła leżeć na łóżku jak przymurowana i godzinami na to patrzeć. W środku nocy poszedłem sprawdzić drzwi sypialni Olgi, ale były zamknięte, jak się spodziewałem. Zastukałem najpierw leciutko, ale kiedy zaczęłem stukać mocniej, usłyszałem, jak matka zapala u siebie światło. Szybko wstałem do ubikacji, gdzie wciąż jeszcze do drzwi była przyklejona kartka, na której jej ojciec niekiedy napisał: DO YOU WANT A COLD SURPRISE? PULL THE CHAIN BEFORE YOU RISE! Na pewno nie mogli tego oderwać, bo inaczej już by znikło razem z jego zamaskowanym fotelikiem. A ponieważ dałbym sobie głowę uciąć, że jeszcze nikt nie skorzystał z jego szelmowskiej propozycji, pozostałem na sedesie pociągając za łańcuszek i wróciłem do łóżka z zimnym i mokrym tyłkiem. Ale jednak nie mogłem spać. Owinęła mnie cała jej miłość w tym pokoju ze wszystkimi śmiałkami z dawna, książkami na półce i... aże mną na pulpicie tapczanu-półki. Jej wszystkie pluszowe misie i wazoniki, garnuszki i inne pierdółki. Ale ani jednej lalki. Biedna wiewióreczka. Stała mi przed oczami jako dziewczynka, tak jak ją znałem ze zdjęć. Z wylamanymi siekaczami, których nie mogła ukryć, bo zawsze się śmiała do aparatu. Znowu usłyszałem chłopców z jej klasy, jak ją przezywają: „Lampka z abażurem!” A Płetie Golhof napalony mówi, próbując wcisnąć palec między jej zaciśnięte uda: „Jedenasty paluszek Jasia w drugą buzię Marysi!”. Zobaczyłem ją, jak na tym samym łóżku czochołała się z koleżankami jedna o drugą w trakcie zabawy w Złamanego Kutasa, i trzeba było co rusz któreś z dziewczyn przylepić do plasteliny nowego. (...) Usłyszałem, jak Nancy, która w ferie wielkanocne mieszkała u ciotki w dzielnicy czerwonych świateł, szepcze jej znowu do ucha: „Wychodzą ci stamtąd tacy czerwoni na twarzy. A na podcieście jeszcze jakos tak niepewnie idą. Żeby tam nie wiem co, muszą się dowiedzieć, co to jest”. I ojca, jak zdyszany po przebiegu schodów i po spacerze rozradowany jak dziecko wtacza się do jej pokoju i bez tchu woła „Czarny labedź jadł mi z ręki”. Zapamiętała to na zawsze, bo tamtego dnia miała pierwszy raz w życiu miesiączkę i w strachu siedziała u siebie, bo matki nie było w domu a sama nie wiedziała, co z tym zrobić. Co jakiś czas zapadałem w jakiś półsen, z którego budziło mnie wściekłe podniecenie. Zdawało mi się, że jak pleszczę na odległość wielu metrów zapach jej cipy. Ale już nie miałem odwagi ruszyć jej drzwi. Bo wiedziałem, że tamten Cerber w skórce matki waruje z uszami w szpic. To znowu moja rozszpaną Jowę nawiedzały napawające strachem widzenia: Słyszałem spuszczenie wody, prześlizgnięcie się na dół i w chwili, gdy czubki moich palców wyczuły miękki materiał jej nocej koszuli, atakowałem. I dopiero, gdy po szamotaninie podarłem ją na strzępy i w niej siedziałem zorientowałem się, że to była ta wstętna suka. Zresztą ją pierwszą zobaczyłem, kiedy tamtego rana chory po nieprzespanej nocy wyjrzałem na dwór. Szła pasem zieleni z głową w papilotach jak Meduza, prowadząc za sobą spalone cuchnące, które opędała kijem od szcztolki, bo tamta klucha miała cieczkę. Predko zbiegłem na dół i sprawdziłem drzwi do sypialni Olgi. Były otwarte. Spała znowu tak samo jak kiedyś z kielkiem w ustach z wypuchłą dupą na całą szerokość łóżka. Błyskawicznie sięgnąłem z siebie bieliznę i wsunąłem się koło niej. Ostrożnie przepchnąłem ją tak, żeby mieć ją w wywodnej pozycji. Koszula nocna była już przez obracanie się z boku na bok podkaszana. Była okrecona wokół jej korpusu jak draperia botini z Partenonu. Wtedy na nią wszedłem, delikatnie rozchyliłem kolana mi jej uda i wbiłem się w nią. Najpierw leżała bezwładnie i ciężko, tylko jej lepkie wargi, spomiędzy których wysuwał się jej kielik, wydęły się w wyzwanie. Ale nagle zeszytyła, zanim jeszcze otworzyła oczy. Natychmiast schwyłem ją w objęcia i przycisnąłem usta do jej warg. Nie tylko dlatego, żeby ją pocałować, ale głównie po to, aby nie mogła krzyczeć. I podczas tych zmagających zwierzęcia o dwóch grzbiętach, które zdawało się nie wiedzieć do czego zmierza, dziko i zapalczywie ją ujeżdżałem. Kiedy wyrwała się spod moich ust, myślałem, że zacznie krzyczeć. A ona powiedziała, że jeżeli natychmiast jej nie puszczyć i sobie nie pójdę, to zawoła matkę. Zabrzmiało to tak idiotycznie, że nie mogłem powstrzymać śmiechu i mało się z niej nie wysiliżnałem. Kiedy powiedziałem, że nie by to nie dało, bo tamta wyszła z psem, naraz się rozluźniła i dała mi wolną rękę. Ale jednak tak samo histerycznie jak poprzedniego wieczora zaczęła głośno szepczeć, że miał ją już ktoś inny. I ja sam zacząłem prawie becząc odkrykiwać jej, że nie mnie to nie obchodzi. Ze tak nieprzytomnie i do szaleństwa ją kocham, że byłbym w stanie wylizywać jej z piz... nasienie kochanków. I prawie od samych moich słów się spuszczała, tak się mimo woli rozluźniała. A ja się powstrzymałem, bo chciałem jej tak dogodzić, żeby nieprędko zapomniała. To wtedy znowu zaczęła krzyczeć, że bym uważał. Zwalazca teraz. Nawet by nie wiedziała, z kim zaszła w ciążę. Ale ja pchałem się dalej, wtedy się rozluźniła i poszła na całosc. Kiedyśmy się oboje prawie zawałaliśmy, nagle do drzwi dobiegło głośne bebnienie.

Całe ciało Olgi stwardniało na kamień. Wszystko się ścisnęło i mój kutas uwiązł w środku. Wtedy wpadła z krzykiem matka. Zaczęła w niepoważny sposób bić po kocu, co wyglądało na przesadny wschodni rytuał żałobny, a przy tym wymyślała mi od łobuzów, gwałcieli i groziła policją, jeżeli natychmiast się nie wyniosę. Wreszcie zdarła z nas koc. W tej samej chwili poczułem jak moja zakleszczona w niej część wraz z buchnięciem mojej krwi tryska w jej zeszytywane ciało. I usłyszałem tuż koło ucha jak mimo całego strachu i skurczu Olgi stęknęła „Aaa”. Zdaje się, że jej matka poznała po moich kurczących się pośladkach, że się zwałem w jej córce, bo zaczęła mnie szarpać i ciągnąć za kostki. I od razu Olga od nowa zaczęła mi się wyrwać i bebnąć o pierś pięściami. Wyszarpnąłem się z szamotaniny, wygarnąłem spod łóżka swoją bieliznę i z kutasem ociekającym spermą wyszedłem z pokoju. Zanim zamknąłem za sobą drzwi, zobaczyłem jeszcze, jak Olga siedzi na łóżku z podciągniętymi kolanami i osłaniając ramionami głowę, jakby się bała że zostanie odcwiczona, nawet w łazience przy szumie wody z dużego kranu słyszałem jeszcze przeraźliwy wrzask tej przekupki. Ale ja czułem się wspaniale jak po tryumfie. Bo miała zakrzyżczała z rozkoszy na oczach matki. I kiedy pysznie się wykapąłem w chmurach piany i jak nowonarodzony w ubraniu wyszedłem z łazienki, jej matka stała blada ze wściekłości czekając na mnie w hallu. Powiedziałem, że chcę się pożegnać z Olą i poszedłem pod drzwi sypialni. Naj-

deice i noże (marki Adolf H. albo Gott mit uns). „Zona będzie rozporządzać swoją własnością ruchomą i nieruchomą oraz swobodnie spożywać owoce...”. Widać, że sobie nie żałuje, pomyślałem, widząc jak wpływa zamasyście do kawiarni pozostawiając za sobą szachnięcie obrotowych drzwi. Włosy miała rozpuszczone. Były jak czerwone baldachy szeroko rozczesane na ramiona. Miała na sobie czerwony kostium oblamowany białym futerkiem. Coś z zimowej wyprzedaży. Musiała być w tym ciepło. Kiedy zauważyła, gdzie siedzę, pooglowała prosto na mnie nie oglądając się na boki. Jak kot, który na coś poluje i niczego poza tym nie widzi. Mężczyźni spojrzeli znad stołu z gazetami. Poznali to po samej jej odzieży. Odebrali ją jako panienkę, u której można coś wskórać. Dziewoja z prowincji niesiona prądem. Przy moim stoliku zatrzymała się. Nie chciała kawy. Wołala, żebyśmy od razu poszli. No i, aha, tych trzystu guldenów nie mogła zdobyć. Więc czy mógłbym za nią na razie, założyć.

było z beznierowności. Z powodu tego makijażu, tego białego króliczego rutra, całego tego kurewstwa. Dlatego powiedziała, tuż zanim otworzyły się drzwi: „Nie ma rady chłopcze, nie ma rady”. Zaprowadziło nas do swojego biura uosobienie obrzydliwości. Pulchny tusty kolos z brzuchem jak beczka piwa, której klepki trzymał w kupie pasek. Uderzając różowe i wilgotne od śliny usta otoczone bujnym zarostem, w którym tkwiły płatki łupieżu. Znalazłem go ze śródmięścia. Był znanym bywałcem kawiarni artystycznych. Najpierw musiałem oddać mu tych sześć słów, po czym, pewnie dlatego że byłem rzeźbiarzem, wcisnął mi do ręki figurkę z saskiej porcelany, pasterza i pasterkę i zapytał, ile może za to żądać, bo zamierza to sprzedać. Spojrzałem nieobecny wzrokiem na tę zapchlą parę i odstawilem na kominek mówiąc, że może honorarium za ekspertyzę jest dużo wyższe niż jego. Schował uraz za zasłoną smacznego śmiechu, o którego aż mu się rozchustał brzuch, zwilił potężny kciuk o wargi i posperzał w papierach, z których co rusz coś tam mechanicznie wyczytał, przyskając śliną. Słuchałem jednym uchem, patrząc po regale pełnym kodeksów, przedpotopowych kalendarzy studenckich, i z luksusowym wydaniem Dekameronu. Przelotnie zerknąłem na Olę, słysząc jak ten nadęty wieprz chrupkłał: „Wniosek o rozwód na podstawie popełnionej przez nią zdrady małżeńskiej”. Spoglądała w sufit, jakby to w ogóle jej nie dotyczyło. Jakby w poczekalni lekarza zmuszona była słuchać poufnych skarg pacjentów. Zdjęła z czerwonej spódnicy parę włosków białego futerka i wtedy nagle zobaczyłem, że paznokcie ma długie jak muszle i polakierowane na różowo. I przylapałem się na tym, że mimo woli pomyślałem: „Fajnie, jak takie pazurki capną za kutasa”. Nawet nie skojarzyłem sobie tego z nią. Mięśny budyń przed nami skończył swoje i rozparł się na siedzeniu z bruchem między nogami jak japoński mnich i patrząc na nas kolejno powiedział: Juliusz Cezar i Brigitte Bardot. Co za szkoda! Czy nie byłoby żadnej szansy złączyć te gołąbki z powrotem?”. Dobrze wiedział, że to niemożliwe. Ze może spokojnie zostawić te sześć słów, żeby mu wystawiły z portfela. Ale żeby się zemścić za ten numer z krajową porcelaną, przed wyjściem wcisnął Olę do ręki papier, który miałem jej przed rozwodem podpisać, jeśli jej udało się tak mnie skołować. Było tam coś takiego, że oświadczam, iż nie zostało w istocie przez nią popełnione cudzołóstwo, ale że to tylko manewr w celu uzyskania rozwodu. Powiedział jeszcze, że jako rozwiedziona kobieta bez takiego zaświadczenia nie ma prawa wjazdu do pewnych krajów. Na przykład do Afryki Południowej. Powiedziałem mu, że im kraj jest bardziej występny i zbrodniczy, tym bardziej zakłamanym w dziedzinie seksu. I że chyba nie zdaje mu się, że się wybieramy do kraju, gdzie dziewięćdziesiąt procent ludności traktuje się jak zwierzęta. Zauważył uprzejmie, że pani od tej pory sama będzie o tym decydować i na tym sprawa się zakończyła. Stał się znowu na ulicy. Najpierw chciała od razu iść, ale przypomniała sobie o tym papierze, który miałem jeszcze podpisać i zgodziła się na moją propozycję, żebyśmy poszli gdzieś czegoś napić. Zawolałem taksówkę i pojechaliśmy do Vondelparku. Gdyśmy szli szerokimi alejami do Rotundy obok krzewów, które kwitły jak szalone, otwarcie flirtowała z każdym przechodzącym mężczyzną, który wypuszczał psa albo siebie samego. Oczywiście po to, żeby mi dokuczyć i udowodnić, że jest zupełnie wolna i może robić co jej się żywnie podoba i pewnie też dlatego, że się przedtem tak często musiała powstrzymywać, że miała jeszcze tyle do odrobienia. Było mi to obojętne. Lepiej, że próbowała mnie zranić, niżby mi miała współczuć. Makijaż zdawał się czynić ją bardziej podniecającą niż plegi. No bo już zaczęła być jak w tamtym dowcipie rysunkowym, gdzie w drzwiach gabinetu lekarskiego stoi dziewczyna, a za nią poczekalnia napienia się mężczyznami, którzy wołają: „Panie doktorze, coś mi wpadło do oka!”. Kiedyśmy wreszcie siedli w ogródku, schowani za żywopłotem, skończyła z tym. Ale zaraz wstała jak oparzona i powiedziała, że musi najpierw zadzwonić. Kiedy wróciła, powiedziała, że nie może dłużej siedzieć, bo za pół godziny będzie na nią czekał przy głównym wyjściu samochód. Zapytałem, czy to dlatego nakładła sobie tego świństwa na twarz, odpierała gniewnie, że zrobiła to, bo bez tego wygląda jak wysrana fasola. Zauważyła sobie jeszcze dodatkowo campari, podczas gdy ja zamałowałem naszą colę z młodym jeneverem. Sącząc swoją gorycz wydołała papier, położyła przede mną na stoliku i bez nacisku poprosiła, żebyem podpisał. Nachyliłem się nad tym i udawałem, że uważnie czytam. Siedziałem tak z pięć minut, aż zapytała, czy jeszcze nie przeczytałem. Kiedy powiedziałem jej, że nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałabym to podpisywać, bo przecież do cholery popełniła cudzołóstwo, ona odparła, że to nie ma nic do rzeczy. Ze tam bynajmniej nie o to chodzi. Miałem ochotę złapać ją i ścisnąć za gardło. Wsadził jej ten uprzedzony łeb w to campari krzycząc, o co innego do kurwy niedzy w takim razie chodzi, jeżeli nie o tę jej cholerną zdradę. Ale siedziałem spokojnie patrząc na żwir między stopami. Zabrała papier i powiedziała: „No to nie”. Naraz wydało mi się to tak potwornie żałosne, że wszystko stało mi się do cna obojętne. Wyszarpnąłem jej świestek z ręki, nożyłem jej wiecznie nógro i napisałem: COKOLWIEK ZROBISZ, ROBISZ CZY JESZCZE ZROBISZ, NOKADPOWIEK PÓJNIEZ, NIGDY NIE PRZESTANĘ CIE KOCHAĆ! I pod tym podpisem. Wzięła ode mnie papier i przeczytała. Zwinęła to w garść na kulke, która schowała do torebki i powiedziała: „Teraz to do wyrzucenia”. Potem wstała i nie żegnając się ze mną poszła między stolikami do wyjścia.

CDN

(Fragmenty powieści wybitnego holenderskiego pisarza w przekładzie Andrzeja Dąbrowskiego, przygotowanej do wydania przez „ISKRY”)

RACHATŁUKUM

Jan Wolkers



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

pierw chciała mnie powstrzymać. Z wargami zacisniętymi do białości. Odepchnąłem ją na bok, ale to niewiele pomogło, bo drzwi były zamknięte na klucz. Pukałem, waliłem, wołałem ją po imieniu i krzychałem na nią, kiedy wciąż się nie odzywała. A przez cały czas to babko wołało do córki, żeby nie odpowiadała słowem takimemu łobuzowi. Wreszcie poszła do pokoju, wyjrzała zza drzwi ze słuchawką w ręku i zagroziła, że zadzwoni na policję, jeżeli natychmiast się nie wyniosę. Zawolałem jeszcze do Olgi, że do niej zadzwonię, że powinna do mnie wrócić. Ze nie powinna dać sobie zatruć życia tej kreaturze. Ze nigdy nie przestane jej kochać i na nią czekać.

Potem, nie mówiąc jej bladej chorej czarownicy, że chce skurwić swoją córkę z tym, co największe da, i bez mściwych krzyków, opuściłem ten dom, w którym potem nigdy więcej nie byłem.

CEZAR I BARDOTKA

Człowiek jest podły. Wszystkiego się chwytą. Rozpaczliwe zabiegi, kiedy miłość przestaje wychodzić z dwóch stron. No bo kiedy przez okno kawiarni, gdzie na nią czekałem, zobaczyłem że nadchodził, podszedłem przedko do szafy grającej i nastawiłem te szkiełkiową płytę. Oh Suzanna, której zawsze chodząc po pokoju wtórował huknięciami ojciec. Już raz ją puszczałem, bo przyszedłem godzinę za wcześnie zabrawszy ze sobą akt intercyzy, książeczkę małżeńską i sześćset guldenów w szarej kopercie. Przez telefon uzgodniłem, że każde przyniesie po trzysta guldenów na adwokata, ale byłem pewien, że jej matka już się o to postara, żeby nie miała grosza przy duszy. Przeczytałem chyba z dwadzieścia razy intercyzę. Te smętne rzadki przedmiotów, które przysłała małżonka „wnosi do wspólnoty małżeńskiej”. Elektryczna maszyna do szycia (opyłona za marnie grosze przyjaciółce), kanapa z kapą i innymi dodatkami (chyba z nią samą), różne wi-

Dzieci KOSMOSU

Zawieszona w Kosmosie i wkomponowana w układ słoneczny nasza planeta Ziemia jest zaledwie drobną cząstką Wszechświata, którego jak dotąd nie ogarnia i nie tłumaczy do końca ludzki umysł. Wobec tego, trwającego od nie wiadomo jak dawna bezmiar przestrzeni, człowiek podobny jest do najmniejszej z małych mrówek, a jego kilkudziesięcioletnie życie daje się porównać z mgnieniem oka.

Czyż nie wart jest ten cudowny, a jakże krótki czas naszego trwania na Ziemi, by przeżyć go jak najładniej, jak najwięcej poznać, zobaczyć, zrozumieć i pozostawić po sobie dobre wspomnienia oraz w miarę trwale wartości?

Aby się to udało, zróbmy rachunek naszych zalet i wad — my, ziemscy przechodnie, i zastanówmy się, co w nas samych i w naszym życiu można jeszcze wyprostować, zmienić, poprawić.



MĘCZYŻNI SPÓD ZNAKU RAKA

Urodziłeś się w jednym z tych przepięknych, kolorowych, kłapiących od słońca letnich dni, między 22 czerwca a 22 lipca w konstelacji zaiste niezwykłej! Bo też dokładnie z 23 na 24 czerwca w nocy dzieją się w Kosmosie sprawy nadzwyczajne: oto zło ty Helios czyli Słońce wstępuje w znak Zodiaku zwany Rakiem!

W tę noc najkrótszą w roku, niespokojną i tajemniczą, ukryty gdzieś głęboko w lesie, zakwita kwiat paproci. Szukają go ludzie od setek lat i nie wiadomo, czy ktoś kiedykolwiek na kwiat ten natrafił.

Znak Raka pozostaje pod wpływem Księżyca — planety bladej i romantycznej, której promienie efektownie świecą, lecz korzystają z nich mało, ponieważ nie grzeją. Taki też jest czas i Ty...

Z drugiej jednak strony nieustannie atakują Cię bardzo silne emocje, które niesie Ci Twój niespokojny Zywioł — Woda, jako że Rak wraz z Rybami i Skorpionem, znajduje się w Trygonie Wodnym. Odbierając te ładunki i poddając się im, wprowadzasz się w stan napięcia.

W sumie więc jesteś, drogi Raku, człowiekiem nierównym: raz w euforii i błogostanie, raz w przygnębieniu i apatii. Takim właśnie widzą Cię ludzie, niestety. Cierpisz z tego powodu, gdyż zdajesz sobie sprawę, że bardzo głęboko, pod tymi widocznymi na zewnątrz nastrojami, jesteś ogromnie uczuciowy, wierny i stary! Ta nierówna uosobienie, te humory, ta chimeryczna czasem niestabilność, to tylko maska, którą chcesz się zastawiać.

O co chodzi? Co chcesz maskować? Myślą o Tobie: ot, kapryśnik, doprawdy, trudno z nim wytrzymać. Nie wiedzą, że tak naprawdę jesteś niesłychanie wrażliwy i nieśmiały. Skrywasz starannie swe uczucia — miłość, stałość, wierność, zazdrość, by przez ujawnienie ich nie stać się w czyichś oczach śmieszny.

Rak jest synonimem zmienności. Idzie sobie normalnie — i nagle, nie wykonując obrotu ciałem, jak to czynią wszystkie inne żyjące i poruszające się stworzenia, nagle zmienia kierunek na całkiem przeciwny. Potrafi bowiem chodzić równie sprawnie do przodu, co do tyłu. Przekładając tę umiejętność na sferę psychiczną, należałoby Ci przypisać nie stałość uczuć, zamiarów, celów, ideałów. Tymczasem jest wprost odwrotnie! Raki pozostają wierni raz przy całym celom i ideałom. Także w miłości!

Masz w sobie silnie rozwinięte trzy cechy, które dominują i jednoznacznie decydują o Twojej osobowości. Pierwszą z tych cech jest wielka uczuciowość. Ktoś ładnie napisał, że na sercu Raka można grać, jak na dobrze nastrojonych skrzypcach i wydobywać najpiękniejsze i najczystsze tony.

Cechą drugą jest przywiązanie. Mężczyźni spod znaku Raka są ideałami przez całe życie. Pozostają im za to płacić cierpieniem. Woda niesie zmienne emocje, Księżyc romantyczne nastroje. A Rak, poddając się jednemu i drugiemu, potrafi pozostawać wiernym, stałym i przywiązany! Powiedz Raku, jak to robisz?

Trzecią z Twoich dominujących cech jest opiekuńczość. Panowie spod tego znaku mają w sobie coś ojcowskiego. Lubią udzielać porad, pomagać innym, świadczyć przysługi, opiekować się. Są przeważnie bardzo dobrymi mężami i ojcami, zamilowanymi domatorami, takimi, którzy wygodny hotel i kapić cenią sobie wyżej, niż uciechy towarzyskie poza rodzinnym kręgiem.

Kobiety chwalą panów spod znaku Raka, za ich czułość, tliłość, łatwość porozumienia się. Mają im za złe podejrliwość i zazdrość. Rak raz zakochany, może trwać w swym uczuciu wiecznie.

U niektórych Raków jednak, owa zmienność i owe humory dają się odczuć silnie we znaki. Dochodzi do tego charakterystyczne dla wszystkich osób urodzonych w Trygonie Wodnym przewrażliwienie, także nadmierna ostrożność. No i nieśmiałość, której czasem Rak nie umie pokonać do końca życia! Wszystko to sprawia, że niekiedy, drogi Raku, stajesz się z biegiem czasu samolubem, zgryźliwym, samotnikiem, facetem zaję tym tylko sobą i własnym zdrowiem. Uważaj, byś nie zginął pod lawiną spraw małych i nieistotnych! Więcej pogody, tolerancji, radości! Nie baw się w podchody, porzuć nadgorliwość i ostrożność. Spróbuj użyć życia, póki trwa!

Woda jest wielką siłą, której na co dzień nie doceniamy. Przez zdolność rozpuszczania wielu substancji, posiada właściwości integrujące. Spadając kroplą po kropli może wydrążyć twardą skałę. Dając wilgoć ziemi, przyczynia się do powstawania nowego życia. Jak żaden inny Zywioł występuje Woda pod trzema postaciami: ciekłą, stałą i lotną — i tu uzewewnętrzniają się jej właściwości medialne. Daje swym podopiecznym ruch, działanie, aktywność, niepokój, zamieszanie, napięcie, bezsenność, pracę wyobraźni, rozległość zainteresowań.

Towarzyski życia szukaj Raku najlepiej wśród pań urodzonych pod znakami Byka, Panny i Koziorożca — czyli w Trygonie Ziemi. Woda z Ziemią daje związek najbardziej owocny. Jest to niemal gwarantem życia pożytecznego, ciekawego, harmonijnego.

Powracając do Twoich cech osobowych: Twój patron Księżyc oddziałuje pozytywnie na Twoją pamięć, refleksyjność, ambicję, zdolności humanistyczne i artystyczne. Ale równocześnie wprowadza Cię w nierealny świat fantazji, powoduje apatyczny nastrój, brak woli, psychiczne zahamowanie i lęk. Wszystko to przeszkadza Ci w urzędystwianiu Twoich planów. Wczoraj nie możesz zasnąć, raniem budzisz się zmęczony. Trzeba, abyś zdał sobie sprawę z destruktywnej roli Twojej opiekuńczej planety.

Najlepszym dniem dla Ciebie jest poniedziałek. Największe sukcesy osiągniesz decydując się na pracę w dziedzinach twórczych i politycznych. Wśród Raków wielu jest polityków i pisarzy, a rzadko tylko trafiają się np. sportowcy i wojskowi.

Może zaciekawi Cię, że pod takim znakiem, jak Ty urodziłeś się: Wojciech Jaruzelski i Włodzimierz Sokorski, artyści plastycy Franciszek Starowiejski i Eryk Lipiński, aktorzy i reżyserzy: Jan Machulski, Andrzej Kondratiuk i Karol Strasburger oraz jeden z Beatlesów — Ringo Starr.

W następnym numerze „Nadodrza” zamieścimy odcinek poświęcony panom urodzonym pod znakiem Lwa, pod wpływem planety Słońce, w Trygonie Ognistym.

EWALD FOSS

Wejściu na ekrany kin „Pilkarskiego pokera” towarzyszył niespotykany od dawna szum. Wyczytałem wśród licznych wypowiedzi prasowych, że twórcy filmu liczą się nawet z ewentualnością procesu sądowego, wszak w niedwuznaczny sposób ukazywali kulisy futbolu, w którym sędziowie nie są bynajmniej aniołami. Procesu — na razie — nie było. Kiedy zapytałem niedawno jednego ze znanych niegdyś arbitrow, dlaczego nikt nie protestuje, odrzekł: — To jest przecież zrozumiałe. Kto jest bez grzechu, niech rzuci kamieniem...

W poprzednim odcinku przytoczyłem pierwszą część opowieści sędziego pilkarskiego, mieszkającego w jednym z luźniejszych miast. Długo wzbierał się przed tą rozmową. Zgodził się w końcu w zamian za zapewnienie mu całkowitej anonimowości. Przysłałem, wszak idzie mi o sprawę, a nie o konkretnych ludzi.

— Kiedy awansowałem do rangi sędziego III ligi, wówczas zorientowałem się, że krążące legendy o sędziowskim arcybractwie nie są wyssane z palca. No, bo skoro sam natknąłem się na różne sytuacje w trzeciej zaledwie lidze, to co musiało się dzieć w ekstraklasie? Trzeba przyznać, że tzw. działacze niższych lig szybko uczyli się na wzorach kolegów z ekstraklasy. Zwyczaj „gospo-

ziomnie zbliżony do Wersalu, ale wciąż ani słowa o meczu.

Rozsądek nakazuje, by w dniu zawodów zrezygnować już z alkoholu. No, chyba że mały koniaczek czy szklanka piwa na kilka godzin przed meczem. Rzadko który z arbitrow o tym zapomina.

Na stadionie nie ma już żartów. Dotąd sędziowie przebywali w bardzo wąskim gronie. Opiekun czuwał nadal, ale już nie tak ostatecznie. Tu na sędziów spogląda uważnie wiele oczu. Każdy z zainteresowanych na swój sposób. To się z tych oczu szybko daje wyczytać. Działacze miejscowego klubu rozmyślają, na ile „specjalnemu wysłannikowi” udało się arbitrowi roznieść. Pilkarze drużyny gospodarzy, którzy przecież też domyślają się, co robili wczoraj, czy działacze wszystkich obserwują. Z kolei zespół przyjezdny obserwuje, jak bardzo sędzia zdążył już polubić miejscowych. A może ciągle się waha? No, i jest jeszcze superważna persona. Kwalifikator PZPN. Ten wystawia sędziemu notę, czyli praktycznie decyduje o jego karierze. O kwalifikatorach jeszcze wspomnę oddzielnie, bo to znaczące ogniwo pilkarskiego pokera. Sędziowie na ogół najmniej przejmują się widzami. Mimo że jest ich na stadionie najwięcej, dla arbitra są naj-

darzyli się owi „wujowie”. Przecież walizeczka, która przez cały mecz była w rękach gospodarzy, mogła gdzieś zaginąć. No, ale w pokerze takie numery nie przechodzą. Każdy na każdego ma jakiegoś haka...

Wspomniałem o ważnej roli w całej tej grze osób, nazywanych kwalifikatorami. Są to najczęściej dawni sędziowie, doskonale obeznani z regułami gry, którzy po zakończeniu kariery zajmują się wystawianiem ocen za prowadzenie meczów swoim młodszym kolegom. Suma not decyduje o tym, czy dany arbitr awansuje w hierarchii, czy też usunie się go w dół. Nic dziwnego, że kwalifikator jest znaczącym uczestnikiem pilkarskiego pokera. Wspiąć się na wyżyny sędziowskiej drabiny jest bardzo trudno, udaje się to nielicznym. Awans i dostęp do prowadzenia meczów w jak najwyższej klasie jest więc dla arbitrow sprawą najważniejszą, wszak i profity są wtedy większe. Pewnie większość chodzi przede wszystkim o satysfakcję osobistą, możliwość zwiedzenia świata i bycie blisko wielkiej piłki. Ale też i korzyści materialne są nie do pogardzenia. To tak jakby z zabawy w podręcznej knajpce raptem przenieść się na bal do „Victorii”. Skoro więc o losie sędziego decyduje w tak dużym stopniu kwalifikator, żaden wysoko mierzący arbitr nie zaryzykuje. Stąd też za-

KTO ROZBIJE BANK W PIŁKARSKIM POKERZE?

KRZYSZTOF HOLYŃSKI

czenia” sędziów szybko się upowszechni.

Nawet w pozorne najbiedniejszym klubie nie zdarzyło się, żebyśmy z kolegami, jako sędziowie, byli pozostawieni samemu sobie. W klubach byli specjalnie wyznaczeni do opieki nad sędzią. Kiedy zgłaszaliśmy się w hotelu, który rezerwowaliśmy przeciw gospodarzom, natychmiast zjawia się ktoś, kto po wyłożeniu powitania nie odstępował już od nas ani na krok. Szybko przenosiliśmy się na obiad lub kolację do mniej lub bardziej eksponowanej restauracji. Najczęściej były to dyskretne saliki bankietowe. Jeśli hotel nie prowadził gastronomii, nasz opiekun zapraszał do samochodu, który był cały czas do dyspozycji. Początkowo, po posiłku, próbowałem dołączyć się do zapłaconia nie małego przecież rachunku. Oczywiście, spotykało się to ze sprzeciwem. Kończyło się zaś informacją: panowie za nie nie płacą, wszystko jest już uregulowane.

Scenariusz wszędzie był ten sam. Rzecz jasna, nie szło tylko o posiłek, bo to — jak myślę — taki klubowy opiekun mógłby chyba rozliczyć legalnie. Rachunki były jednak takie, że nie przepuszciliby ich nawet początkujący księgowy. Toteż nie były brane. Łatwo można się domyślić, że opiekun sędziów był zaopatrzony w tzw. lewe pieniądze.

Jakoś do końca nie potrafiłem być nazbyt pazyry. Trochę gryzł osunienie. Pewnego razu jeden z moich liniowych miał nawet pretensję, że za szybko i beceremonialnie odrzuciłem propozycję, która wydawała mu się być nie do odrzucenia. Ow specjalny człowiek z miejscowego klubu robił to jednak wyjątkowo natchniony. Dość grubą kopertę położył na stole między talerzami i kieliskami. Gdy kolega liniowy potem jeszcze raz mi to wypominał („policz, ile miesięcznie musisz pracować na taki szmal!”), odrzekłem: a jeśli to była próba złapania za rękę? Jestem pewien, że nawet dziś w taki prosty sposób i to w restauracji, nikt nie da je i nikt nie bierze.

Najczęściej, a mówię to w oparciu o własne doświadczenia, odbywa się to znacznie subtelniej. Po powitaniu w hotelu, wspomniany obiad lub kolacja. Sympatyczne rozmowy o wszystkim i o niczym, byle jak najmniej o meczu, wszak wszyscy przecież wiedzą, o co chodzi. Jeśli sędzia jest nieprzekupny, to ów opiekun może tylko zaszokować swojej drużynie i skompromitować się. Jeśli zaś jest „swoim człowiekiem”, to bez zbędnych słów pojmie, w czym rzecz. Trwa więc miły wieczór, podczas którego każde życzenie sędziego jest spełnione. Sędzia szybko wyczuje, na co stać gospodarzy. Bywały wczoraj skromniejsze, bywały bardzo wystawne. Zdarzało się czasami, że opiekun w odpowiednim momencie zapraszał do towarzyszenia swoje „koleżanki”. Tak się składało, że koleżanki potem wcale nie spieszyły się do domu, a nawet chętnie korzystały z noclegu w tym samym hotelu. Do pokoiw szło się też z pierwszą częścią klubowych suwenirów.

Na drugi dzień, zależnie od tego, o jakiej porze był mecz, opiekun grzecznie budził i po daniu sędziemu czasu na poranną toaletę, zapraszał na śniadanie. I nadal elegancko rozmowy na po-

mniejsz groźni. Jeśli nawet pogwizdał i wyzywał od najgorszych, nie oni przecież będą decydować o dalszych jego losach...

Im bliżej meczu, sytuacja coraz bardziej przypomina atmosferę przy pokerowym stole, przy którym zdarzyć się mogą najprzeróżniejsze warianty gry. Idealnie jest wtedy, gdy miejscowy zespół jest po prostu lepszy i sędziemu nie pozostaje nic innego, jak odgryźć kolejne gole dla gospodarzy. Wówczas działacze miejscowego klubu są zaдовoleni. Cieszą się też opiekun sędziów, bo dobrze wypełnił swoją misję i wykazał się wobec szefów. Spokój mają sędziowie, bo nie zawiedli gościnności, choć pomogli im w tym zawodnicy gospodarzy. Cieszą się miejscowi kibice, większych zastrzeżeń nie ma też kwalifikator. Ale to jest wariant optymalny i nie zawsze się zdarza.

Wystarczy, że drużyna przyjezdna jest wyraźnie lepsza od miejscowych i zaczyna się schody. Trzeba nie lada umiejętności, żeby taki zespół „skaleczyć”. Rozsądny sędzia zapomina w takim przypadku o przyjemnym wieczorze, wszak po „gospodarsku” może prowadzić mecz do pewnych granic. Potem zaczyna się już kompromitacja. Przypuszczam, że tylko przyjęcie dużej kwoty może na swój sposób tłumaczyć to, że sędzia traci głowę i na przykład w ostatniej minucie dyktuje urojony rzut karny przeciw gościom.

Wcześniej ułożony scenariusz mogą też zburzyć i inne okoliczności. Sędzia nie odpierał się zbytnio od opiekuna klubu, ale też nie był zbyt przystępny, bo z tabeli wyraźnie wynika, że w trudniejszej sytuacji są goście i im punkty będą bardziej potrzebne. Jak poker, to poker. Jest możliwość przebicia stawki przez gości. A na wyjeździe kosztuje to drożej. Może się zdarzyć i tak, że obstawia... ten trzeci, czyli klub, który jest zainteresowany wynikiem meczu, w którym sam nie bierze udziału. Bywało i tak, że sędzia był przychylniejszy dla danej drużyny i sprytnie „drukował” wynik, bo takie sugestie otrzymał od ważnych osób. Dzisiaj nie jest tajemnicą, że w latach siedemdziesiątych zespołem pod specjalnym nadzorem było Zagłębie Sosnowiec. Nie obawiali się zbytnio sosenowiczanie spadku z I ligi, bo czuwał nad nimi najważniejszy wówczas człowiek w Polsce... Spadli, kiedy on odszedł, by teraz znów awansować.

Oczywiście, nie wolno zapominać, że bywały też mecze reżyszerowane bez udziału arbitrow. Przecież jest tajemnicą poliszylna, że mecz można kupić, placąc pilkarzom, chociaż taniej jest zapłacić trzem sędziom, niż całej drużynie.

Myślę, że największe pieniądze, przeznaczone na taki cel, a niegdyś nie księgowane, krążyły w ekstraklasie. Pod koniec lat siedemdziesiątych na własne oczy widziałem walizeczkę pieniędzy, które przeznaczone były za wygranie meczu. Płacić był gotów klub zainteresowany porażką rywali gospodarzy, bo to mogło pomóc mu awansować do I ligi. W walizeczce było 150 tysięcy. Duża kwota, jak na tamte czasy. Padł remis i kierownik drużyny gospodarzy rad nie rad odniósł walizeczkę wysłannikowi tego trzeciego klubu. Już wtedy podziwiałem wzajemne zaufanie, jakim

[2]

nim podejmie rozmowę z opiekunem z ramienia klubu, często pyta wprost: panowie, a z kwalifikatorem załatwione?

Czy ja brałem? Bezsprzecznie, z ręki do ręki, nie. Zdarzało się natomiast, że kopertę z forszą zastawiałem na stoliku nocnym w hotelu, albo w szatni sędziowskiej po meczu, gdy wracaliśmy z kąpielą. Pieniądże dzieliłem z kolegami, a nikomu nie zwracałem ich, bo i nie było komu. Mogłem zgłosić to swoim władzom, ale po co? Ponoć kiedyś jakiś sędzia, gdy zobaczył pieniądze w szatni, domagał się wezwania milicji. Wyszedł na durnia, bo miejscowi spokojnie powiedzieli, że nie o żadnych pieniądzech nie wiedzą, a sędzia pewnie knuje jakąś wredną intrygę, by narazić na szwank dobre imię ich zasłużonego klubu. Zagrozili, że to oni prześlą sprawę gdzie trzeba, jeśli sędzia nie cofnie bezpodstawnych oszczerstw. Stało na tym, że nikt żadnych pieniędzy nie widział...

W jednym z lubuskich klubów zdarzyło się, że do opieki nad sędzią wyznaczono człowieka, który sływał z tego, że potrafił załatwić wszystko. Kasował w klubie lewe pieniądze, bawował z sędziami, a jakże, tylko że pewnego razu przez przypadek wyszło na jaw, iż jedynie część wydzielonego funduszu trafiła do arbitrow. Większość sprytny hochsztapler zgarnął dla siebie. Do końca mu tego nie udowodniono, ale na wszelki wypadek zrezygnowano z jego usług.

Gwizdanie „wycynowe” już skończył, jakiś czas byłem kwalifikatorem, ale coraz bardziej mierzliły mnie te pokerowe sytuacje, o których rozmawiamy, a jakie spotykałem w najniższych nawet klasach. Swego czasu „Gazeta Lubuska” piórem red. Więkowieca pisała, że w klasie B czy C jakiś drużyna sprzedawała mecz za... skrzynkę wina. Jak rozbić bank w tym pilkarskim pokerze? Naprawdę nie wiem. Zbyt wielu ludzi na tym korzysta, by łatwo można było przeciąć ten strumień lewych pieniędzy. Jestem pesymistą i nie wierzę, żeby szybko dało się w pełni uzdrowić sytuację w naszej piłce, w której sędziowie — choć nie jedyni przecież — też są nie bez grzechu...

Od czasu do czasu sędziują mecze drużyn zakładowych i spartakiadowych. Robię to dla zwykłej przyjemności i za pełne społecznie, nie biorąc złotówki. Taki rodzaj katharsis...

— ☆ —

Przed paru laty, w trakcie dużej imprezy pilkarskiej, rozmawiałem z jednym z naszych czołowych sędziów, posiadającym wówczas klasę międzynarodową. Już wtedy zahaczaliśmy o sprawę kupieństwa punktami i meczami. Ow sędzia powiedział: „W futbolu dzieją się rzeczy, o jakich wam, dziennikarzom, nawet się nie śniło. Może kiedyś, jak skończy z sędziowaniem, opowiem o niektórych przypadkach bardziej szczegółowo”. Arbitr ten nadal występuje na ligowych boiskach. Kiedy zakończy karierę, przypomnę mu o naszej rozmowie. Czy zechce choć trochę popowiać...?

5. VII — ŚRODA

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Kolorowa kuchnia
9.00 Teleferie Najmłodszych: „Zgadywanie na ekranie”
9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stworek” — „Pieniądze” — film prod. CSRS
10.10 „Zawsze jesteś w sercu moim” — film fab. prod. rumuński
10.45 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 „TV informator wydawniczy”
17.30 „Czterdziestolatek” (3) — „Wpadnij, kiedy zechcesz, czyli bodźce stepione” — serial obyczajowy prod. TP
18.30 „Z wiatrem i pod wiatr” — mag. żeglarski
18.50 „10 minut”
19.00 Dobranoc: „Kolorowy świat Pacyka”
19.10 „Bocznymi drogami” — reportaż
20.05 „Kraśka” — dramat psych. prod. wł., reż. Ettore Scola, wyk.: Alberto Sordi, Michel Simon, Charles Vanel, Pierre Brasseur, Janet Agren
21.50 Kroniki PAT — „Tak było...”
22.05 Studio Sport
22.25 „Spojrzenia” — mag. o państwach socjalistycznych
22.50 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.30 „Świat festynów”
19.00 Tokyo Music Festival '89
19.30 „Mongolia” — pr. dokumentalny
20.00 Studio Sport
20.30 „Piękne głosy” — Maria Olsz
21.00 „Z ziemi polskiej” (1) — „Wśród pionierów Ameryki” — film dok. Andrzeja Chładowskiego
21.50 „W labiryncie” (27) — serial TP
22.20 „Telewizja nocą”
23.05 Komentarz dnia

6. VII — CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — Kolorowa kuchnia
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rupca” (2) — „Zakład” — serial prod. bułgarskiej
10.10 „Tylko bez paniki” — film kryminalny prod. węgierskiej
16.50 „Patrol” — wojskowy mag. public.
17.30 „Czterdziestolatek” (4) — „Portret, czyli jak być kochanym” — serial TP
18.25 „Ze szluka na ty”
18.50 „10 minut”
19.00 „Anoc” — Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 „Teraz” — Tygodnik gospodarczy
20.05 „Telefon 110” — „Ostatnia klientka” — film kryminalny prod. NRD
21.30 Kroniki PAT — „Tak było...”
21.45 „Pegaz”
22.25 Festiwal Piosenki Zolnierskiej Kolobrzeg '89 — Koncert — Rewia wojskowych zespołów estradowych
23.25 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na Lachy” — film anim. prod. angielskiej
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (2) — „Droga w świat” — serial prod. CSRS
20.00 Wielki tenis
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 „Moniuszko znany i niezany” — XXVIII Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdrój
22.05 Kino Studynie „Dwójki” — „Lenny” — film fab. prod. USA, reż. Bob Fosse, wyk.: Dustin Hoffman, Valerie Perrine, Jan Miner, Stanley Beck
23.40 Komentarz dnia

7. VII — PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator”
9.00 „Zielone Teleferie”
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. TV CSRS
10.10 DT — Dodatek gospodarczy
10.25 „Pół willi bez pana młodego” — komedia obyczajowa prod. CSRS
16.45 „Mieszkań” — Wszelchnia budowlana
17.30 „Czterdziestolatek” (5) — „Kondycja fizyczna, czyli walka z metryką” — serial TP
18.30 „Hajnowka” — Portret miasta
19.00 Dobranoc: „Przygody Gapulki”
19.10 Monitor rządowy
20.05 „Lato rewolucji” cz. I — film fab. prod. franc., reż. Lazare Iglass
21.25 Kroniki PAT — „Tak było...”
21.40 „Czas” — mag. publicystyczny
22.10 Festiwal Piosenki Zolnierskiej Kolobrzeg '89 — Premiery
23.40 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.30 „Konwój”
19.00 Studio Sport — Wimbledon '89
20.30 „Dookoła świata” — „W sercu Afryki” — „Piątek” — krakowski przekładaniec kulturalny
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem — „Aniołowie o brudnych twarzach”, reż. Michael Curtiz, wyk.: James Cagney, Pat O'Brian, Ann Sheridan
23.20 Komentarz dnia
23.25 Studio Sport — Wimbledon '89

8. VII — SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 „Tydzień na działce”
8.20 „Na zdrowie” — pr. rekreacyjny
9.00 Kino Teleferii: „Fragile” — film prod. ang. „Szaleństwa panny Ewy” (2) — „W jaskini potwora” — serial prod. polskiej
10.40 „Stare nowe, najnowsze”
11.25 „Bellona” — wojsk. pr. publ.
11.55 „Śladami Odyseusza” (3) — „Cyklop

- Polifem” — „Eol” — bóg wiatrów film dok. prod. franc.
12.35 „Czas Gdyni” — film dok. TV
13.25 „Flesz” — program muzyczny
13.55 TV Teatr Prozy z cyklu: „Mówi Chandler” — „Kłopoty to moja specjalność” — reż. Marek Piwowski
14.55 „Dziecko potrafi”
15.25 Komedia, komedia, komedia... „Motodrama” — film fab. prod. pol., reż. Andrzej Konie. Wyk.: J. Fedorowicz, K. Sienkiewicz, B. Łazuka
16.50 Losowanie Dużego Lotka
16.55 „Szkoła mistrzów” — Jerzy Wójcik
17.30 Studio Sport — Samochodowy rajd Polski
18.30 „Butik” — pr. Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: „Przygód kilka wróbla Cwirka”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 „Jeźdźcy” — western prod. USA, reż. John Frankenheimer. Wyk.: Omar Sharif, Jack Palance, Leigh Taylor-Young
21.40 „Tydzień w polityce”
21.50 Festiwal Piosenki Zolnierskiej Kolobrzeg '89 — Koncert autorski Janusza Kępskiego i Marka Sewena
23.40 Kino Sensacji: „Straceńcy” — film fab. prod. USA, reż. Ted C. Frank, wyk.: Tom Laughlin, Elizabeth James, Jane Russel

PROGRAM II

- 14.00 „W świecie ciszy”
14.25 Telewizyjny koncert życzeń

- 18.50 „10 minut”
19.00 Dobranoc: „Jak piesek i kotek myli podłogę”
19.10 „Gorące linie”
20.05 Spektakl na bis — Aleksander Gelman „Laweczka”, reż. Maciej Wojtyczko, wyk.: Joanna Zółkowska, Janusz Gajos oraz Ewa Dalkowska, Danuta Kowalska
21.25 Kroniki PAT — Tak było...
21.40 „Elementarz polski” — film dok.
22.40 Mój teatr — Edyta Geppert
23.15 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 „Ojczyzna — polszczyzna” — „Frazeologiczne modyfikacje”
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 Program publicystyczny
20.00 „Teletrans”
20.30 „Uwaga, dokument”
21.15 „Rozmowy o cierpieniu”
21.45 Biografie: „Kino Carla Dreyera” (2) — film prod. duńsko-brytyjsko-RFN
22.45 Komentarz dnia

11. VII — WTOREK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — 10 minut dla urody (1)
9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem”

PROGRAM II

- 8.50 „Domator” — 10 minut dla urody (1)
9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem”

dwa tygodnie z TV

5 — 18 LIPCA 1989 R.

Codziennie: 17.15 — Teleexpress, 9.15, 19.30 — Dziennik (pr. I), 21.30 Panorama dnia (pr. II)

14. VII — PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — 10 minut dla urody (4)
9.00 „Zielone Teleferie”
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial prod. CSRS
10.10 DT — Dodatek gospodarczy
10.25 „Weekend bez rodziców” — komedia obycz. prod. CSRS
16.10 „Domator” — Przed weekendem „Czterdziestolatek” (10) — „Pocztówka ze Spitsbergenu, czyli oczarowanie” — serial TP
18.50 „10 minut”
19.00 Dobranoc: „Przygody Gapulki”
19.10 „Monitor rządowy”
19.30 Dziennik telewizyjny
20.05 „Lato rewolucji”, cz. 2 — film fab. prod. franc.
21.25 Kroniki PAT — Tak było...
21.40 „Czas” — mag. publicystyczny
22.10 Józef Prutkowski — kalamburzysta liryczny
23.10 DT — Echa dnia
23.25 „Świat jaki jest” (4) — „Wyrok na krądownik” — serial dok. prod. ang.

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wzroczowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego”
19.00 „Konwój”
19.30 „Dookoła świata” — „Od Zambezi do Limpopo”
20.00 Program rozrywkowy
20.50 „Antyczny świat prof. Krawczuka” — „Sennik Artemidora”
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem — „Burzliwe lata dwudzieste” — film fab. prod. USA, reż. Raoul Walsh, wyk.: James Cagney, Priscilla Cane, Jeffrey Lynn, Gladys George
23.35 Komentarz dnia

15. VII — SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 Tydzień na działce
8.20 „Na zdrowie” — pr. rekreacyjny
9.00 Kino Teleferii: „Fragile” — 5. prod. ang. „Szaleństwa panny Ewy” (3) — serial prod. polskiej
10.40 „Stare nowe, najnowsze”
11.25 „Tradycja grunwaldzka” — wojsk. program dokumentalny
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 „Wielki Odyseusz” — film dok. prod. franc.
13.05 Koncert laureatów — „II Młodzieżowy Festiwal Piosenki Sopot '89”
14.05 TV Teatr Prozy z cyklu: „Mówi Chandler — Blisko serca”, scen. i reż. R. Bugajski
15.10 Komedia, komedia, komedia... „Pan Anatol szuka miliona”, reż. Jan Rybowski
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.50 Studio Sport
17.30 Portrety „Barbarzyńca z paletą” — film o Józefie Chelmonskim
18.05 „Polityka, politycy” — Ingvar Carlsson
18.30 „Butik” — pr. Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: „Przygód kilka wróbla Cwirka”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 Sobotni seans filmowy — „Suani” — film fab. prod. francuskiej
21.30 „Spotkania ze Szwajcarią” — cz. I
21.45 „Tydzień w polityce”
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.15 „Miss Polonia '89” — półfinał
23.25 Telegazeta
23.35 „Miss Polonia '89” — finał

PROGRAM II

- 14.30 „Barjery” — pr. dla niesłyszących
15.05 „5-10-15” — pr. dla dzieci i młodz.
15.45 Male Kino — „Nemrik” — film dok.
16.15 „Konwój”

- 17.00 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” (11-ost.) odc. — serialu TP
18.00 Program lokalny
18.30 „Rozmowa z Montreux”
19.30 „Alfa i omega”
20.00 „Eroica” pod batutą Jerzego Senikowa
20.55 „Festiwal Piosenki Czeskiej i Słowackiej — Ustroń '89”
21.45 „Chateauvallon” (10-ost.) — serial prod. franc.
22.40 Komentarz dnia

16. VII — NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.05 „7.25 TTR — sem. II”
7.45 „Po gospodarsku” — mag.
8.15 „Tydzień”
9.00 Kino Teleferii: „Powrót z Góry Czarownic” — film przygodowy prod. USA
10.35 „Życie na planecie Ziemia” — „Pułstynie meksykańskie” — serial przyrodniczy prod. franc.
11.25 „Kraj za miastem”
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 „Palace polskie”
13.10 Marek Sierocki zaprasza
13.35 „Laureaci '89” — „Tajemnice naszych kwiatów” — film dok.
14.05 Agromarket
14.55 „Pieprz i wanilia” — „Nieznany kraj”
15.40 „Panna dziedziczka” (9) — serial prod. brazylijskiej
17.30 „Gdzie są ślady z tamtych lat”
18.40 „Antena”
19.00 Wieczorynka „Tajemnica Wikłowej Zatok”
20.05 „Suani” (2) — film fab. prod. franc.
21.05 „7 dni — świat”
21.35 Sportowa niedziela
22.15 „Kinomania” — Elżbieta Czyżewska
22.55 Premiery po latach — „Dwójka bez sternika” — film dok.

PROGRAM II

- 9.55 Film dla niesłyszących — „Suani” (1) — film fab. prod. franc.
11.20 Przegląd tygodnia dla niesłyszących
11.55 Film dla niesłyszących — „Suani” (2)
12.55 „Kawalerowie Krzyża Grunwaldu” — wojsk. pr. dok.
13.25 „Jutro poniedziałek”
14.00 Polska Kronika Filmowa
15.05 „Polacy” — film dok.
16.10 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie”
17.00 „Konwój”
17.30 „Bliżej świata” — przegląd TV-sat.
18.45 Rzecznik praw obywatelskich
19.30 Muzyka Chopina
20.00 Studio Sport
21.00 „Festiwal Piosenki Czeskiej i Słowackiej — Ustroń '89”
21.45 „Wichry wojny” (18-ost.) — serial prod. USA
22.35 Komentarz dnia
22.40 Futurologia na dobranoc

17. VII — PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 17.30 „Czterdziestolatek” (11) — serial TP
18.25 „Echa stadionów”
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc: „Gimnastyka jest dobra na wszystko”
19.10 „Gorące linie”
20.05 Spektakl na bis — „Tym razem zgaj na zawsze” — scen. i reż. B. Borys-Damiecka
22.10 „Kroniki PAT — Tak było...”
22.25 Program rozrywkowy
22.50 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 „Ojczyzna — polszczyzna”
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 Życie muzyczne
20.00 „Teletrans”
20.30 „Osądźmy sami”
21.15 Zamyślenia
21.45 Program publicystyczny
22.10 Biografie: „Donald Sutherland — Odpowiedz mi szczerze” — film dok. prod. kanad.
23.00 Komentarz dnia

18. VII — WTOREK

PROGRAM I

- 8.50 „Domator”
9.00 Teleferie: „Wakacje z Ikarem”
9.30 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat” (5) — film prod. NRD
10.10 DT — Dodatek gospodarczy
10.15 „Moja kuzynka Rachela” (1) — serial prod. ang.
17.30 „Czterdziestolatek” (12) — serial TP
18.35 „Radar”
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc: „Przygody Bączka i Pączka”
19.10 „Stop” — Telewizyjny Klub Konsumenta
20.05 „Moja kuzynka Rachela” (1) — serial prod. ang.
21.00 Kroniki PAT — Tak było...
21.15 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 Wokół wielkiej sceny — mag.
22.20 Muzyka narodowości
22.50 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
18.35 „Wojna domowa” (10) — serial TP
19.30 „Blisko nieba”
20.00 Muzyka polska inspirowana folklorem — „VII Światowy Festiwal Piosenki Zespołów Folklorystycznych”
21.45 Studio „Solidarność”
22.30 „Królewskie polowanie na słońce” — film historyczny prod. USA
23.30 Komentarz dnia

Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie dokonywane przez TVP w ostatniej chwili.

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13 i piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra 8 skrytka pocztowa 40. Telefon redakcji: naczelnicy 78-45 z-ca red. naczelnego 19-13 oraz centrala 46-41 do 67 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 0432253 REDAGUJE KOLEGIUM; Halina Aduka-Skarbek, JANEZ KONIUSZ (red. naczelnicy) Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego) Krzysztof Holyński, Wiesław No-

dzynski, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermańowicz (red. graf.-tech.) Korekta Beata Bartosińska. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 15 65-949 Zielona Góra, skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna: 46-41 do 67. Drukarnia naczelnicy: Zbigniew Piekiewicz, tel. 717-54. DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja

OGŁOSZENIA przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i zdjęcia) nie zamówionych nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów. K-20

NASI W STOLICY. Pismo młodej inteligencji „Enigma” (nr 2), wydawane przez Radę Uczelnianą Zrzeszenia Studentów Polskich Uniwersytetu Warszawskiego, udostępniło dwie kolumny na prezentację wierszy członków zielonogórskiej Grupy Działan Artystycznych „Budowa”: Krzysztofa Fedorowicza, Roberta Gromadzkiego, Jacka Katarzyńskiego i Roberta Rudiaka. Utwory interesujące, stanowiące dobre prognozy dalszego poetyckiego rozwoju autorów skupionych wokół „Budowy”. Tylko — dla czego Robert Gromadzki! Wyznaje: „najlepsze wiersze pisze się 1 po trzydziestce...”. Historia literatury dowodzi, że właśnie najlepsze wiersze pisze się przed trzydziatką. Przekora czy kokieteria? — „Budowy”?